

Spis treści

JoyBangla.....	2
Syndrom Dhakijski.....	9
Road to Khulna.....	22
Meczet, taka i krokodyl.....	31
Krokodyle, prostytutki i lasy namorzynowe.....	37
Stranger Than Paradise.....	43
Nikt nigdy nie przyjeżdża do Bangladeszu.....	53

JoyBangla

Od wielu lat jedną z pozycji na mej liście miejsc do odwiedzenia zajmował pewien azjatycki kraj, który cieszy się umiarkowaną popularnością pośród turystów. Jakies dziesięć lat temu myślałem, że wyprawy do miejsc takich jak Laos, Kambodża lub Birma to niesamowite wyczyny niezależnej turystyki. O ile jeszcze Birma w 2010 roku była rzeczywiście dość niszowa, dzika i z dala od pobitego szlaku, o tyle cała reszta tej części świata była już wtedy, mniej lub bardziej, zajechana turystyką. Z tego co wiem, już kilka lat temu podobny los dotknął i Birnę.

Leniwi mówią, że nie ma już dokąd jechać, żeby nie było Marriotta i KFC. Jest to nieprawda! Zostało jeszcze kilka miejsc, których turystyka nie zajechała, i pewnie szybko nie zajędzie. Na przykład Pakistan. I gdy w kwietniu rezerwowaliśmy bilety na wakacje, moje myśli poszybowały do Pakistanu. Niestety, okazało się, że wszystko, co tam lata, jest dość drogie, do tego dochodzi upierdliwość prawa wizowego. Układ urlopów, lotów i różnych pomysłów sprawił, że ostatecznie zdecydowaliśmy się wspólnie zrobić Nepal, a potem Aligator musiał wracać do Polski. Ja na następne dwa tygodnie postanowiłem udać się do takiej z dawna wyczekiwanej destynacji azjatyckiej, w której jeszcze nie ma turystyki.

Do Bangladeszu.



Bangladesz znalazł się na mej liście z jakichś tajemnych powodów. Chyba gdy podróżowaliśmy po Indonezji, w jednym z hosteli znalazłem dość stary przewodnik po Bangladeszu, przeczytałem jego solidną część i stwierdziłem, że to powinna być odtrutka na dramatyczną komercyjność i brak autentyczności Azji Południowo-Wschodniej. Przez kilka lat koncepcja wyprawy do Bangladeszu przewijała się, ale Aligatora kraj ten interesował w ogóle. Jako główny powód podawała to, że nie ma tam żadnych atrakcji turystycznych, panuje bieda, korupcja, a do tego islam. Są to pewne niedogodności, ale w zamian miało je wynagrodzić co innego. Czyli... autentyczność! Rewiry niezspsute przez turystykę masową, a do tego niskie ceny przedsięwzięcia. Niestety, Aligatora to nie przekonywało i Bangladesz jakoś nigdy nie zagościł na naszej liście podróży.

Zanim przejdziemy do sedna, czyli kraju ze stolicą w Dhace, najpierw był Nepal. Kiedyś Nepal jawił mi się jako tajemniczy, himalajski kraj, w którym jest dziko, a turystyka głównie wysokogórska. Może ze dwadzieścia lat temu tak było, chociaż źródła pisane zdradzają, że

raczej też nie. Porównania nie mam, ale stan na rok 2019 jest taki, że Nepal to kraj z wszystkimi wadami współczesnej turystyki masowej, a za to z bardzo małą ilością jej zalet. Hotel otworzył już chyba każdy z mieszkańców kraju, do tego został przewodnikiem, tour operatorem, a także ma małą restaurację. Drogi pozostają w stanie żalnym, prędkość przemieszczania się po kraju to około 20km/h!!! 200 kilometrów zajmuje nierzadko osiem godzin podróży, a może i dziesięć! Korki, zanieczyszczenie powietrza, śmieci dosłownie wszędzie, żebranie, darcie pieniędzy z turystów na każdym kroku. Jako mobilny bankomat turystę traktuje już państwo na wjeździe (50 USD za wizę, podniesione ostatnio z 30), a potem w każdym miejscu biletowanym. Co się dziwić, że lokalni wpadli na ten sam pomysł, a przodują w tym bileterzy w autobusach. Hoteli jest ile tylko sobie zażyczyć, ale jakość pozostawia wiele do życzenia. W ciągu niecałych trzech tygodni mieliśmy wystarczającą liczbę starć z lokalnym podejściem do biznesu, żeby uznać, że jedna wizyta w Nepalu wystarczy nam na dość długo.

Ten nieco przydługi wstęp ma służyć temu, żeby lepiej można było zrozumieć serię porównań, które nasuwały mi się podczas pobytu w Bangladeszu.

TIME	AIRLINES	FLIGHT	DESTINATION
সময়	বায়ুসেবা	উডান	গন্তব্য
11:05	Salam Air	OV428	Muscat
11:30	Sichuan Airlines	3U8720	Lhasa
11:40	Qatar Airways	QR653	Doha
12:15	China Southern	CZ6068	Guangzhou
12:55	Biman Bangladesh	BG072	Dhaka
13:00	Malindo Air	OD183	Kuala Lumpur
13:30	Thai Airways	TG320	Bangkok
14:45	IndiGo	6E032	Delhi

Aligator wyfrunął do Polski w sierpniową czwartkową noc, ja następnego dnia rano miałem lot liniami Biman (narodowymi wiadomego kraju) do Dhaki. Z Katmandu leci się trochę ponad godzinę. Ku memu zaskoczeniu, dali jeść, pić i karty imigracyjne. Samolot był pełen, ale poza mną była tylko dwójka Rosjan. Całą resztę stanowili lokalni. Bangladesz ma te 164 miliony ludności (pewnie dość plus minus liczone) i czasem obywatele muszą gdzieś polecieć, np. do Nepalu. Wylądowaliśmy i rozpoczęło się wielkie *welcome to Bangladesh*.

A jak ty dzisiaj polecisz do raju?

Od jakiegoś czasu obywatele UE mogą sobie lecieć do tego raju na ziemi bez wizy i otrzymać ją po przylocie. Nie zmienia to faktu, że najpierw trzeba porozmawiać z celnikiem. W moim przypadku wyglądało to tak:

- Po co przyjechałeś do Bangladeszu?
- Jestem turystą.
- W Bangladeszu nie ma niczego ciekawego.

Trochę mnie ścięło. Żeby na lotnisku krajowcy mówili, że zapraszają wypierdalać, bo w ich kraju nie ma żadnych atrakcji turystycznych? Tego jeszcze nie grali, nawet w Mołdawii.

- Jak to nie ma? A Bagerhat? A Khulna? A plantacje Sylhetu? Rajshahi? - szybko deklamowałem celnikowi, co pamiętałem z przewodnika. - *Rohingowie...* - dorzuciłem z głupą ostatnie skojarzenie jakie miałem. Może nie ostatnie, ale coś mi mówiło, że lepiej nie mówić o legendarnych szwalniach, szalowych zarobkach i przeludnieniu.

- **SKĄD WIESZ O ROHINGACH?** - z całego zestawu ciekawych rzeczy w Bangladeszu, pan celnik najbardziej zainteresował się ludnością napływową.
- *W gazetach pisali...* - bo co innego miałem powiedzieć?
- **NIE WOLNO JECHAĆ DO ROHINGÓW!!!** - nakrzyczano na mnie.

Podczas tych wszystkich procedur czułem, że sprawiam panu niesamowitą radość tym, że może na kimś wyładowywać te okrucieństwa władzy, którymi obdarzyło go państwo. Myślałem, że kumple zaraz mu zaczną robić zdjęcia pamiątkowe z niesamowitego wydarzenia, jak zamęcza białego.

Po tej raczej długiej i żmudnej rozmowie, pozwolono mi wypełnić bardzo duży blankiet, którym aplikuje się o wizę. Nakazano przesłać im na email bilet powrotu z Bangladeszu, a także rezerwację hotelową na pierwsze noce. Wiedziałem, że lubią o to się drzeć, więc miałem w telefonie oba dokumenty. Podpisałem się do lotniskowego wifi, przesłałem, wydrukowali, dopieśli do mojego wniosku. Poszedłem zapłacić. Opłata za wizę wynosi 51USD (50 za wizę i jeden za to, że pan przyjmie 50 – szkoda, że za przyjęcie 1 USD nie wprowadzili jeszcze jednej opłaty). Zapłaciłem w euro i dostałem trochę reszty w taka, po nawet nie najstraszniejszym kursie świata.

Tu jeszcze słowo o walucie Bangladeszu: oficjalnie nie wolno wywozić taka z kraju. Po długich poszukiwaniach kupiłem trochę niszowej waluty w jednym z kantorów w Kathmandu, ale kurs był bandycki, a i za takim chodziłem trzy dni. „We don't do Bangladeshi Taka” - słyszałem w większości miejsc. Chciałem mieć jakieś drobne, choćby na autobus i wodę mineralną. Trochę więc nawet się ucieszyłem, że dostałem resztę. Za dolca dawali około 84 taka, w mieście można znaleźć lepiej, ale jak na lotnisko, to nie był skandal.

Oczywiście pojawił się kolejny problem, tym razem związany z tym, że mój bilet powrotny był z Chittagong.

- *Nie wolno jeździć do Chittagong!* - sprzedał mi newsa pracownik służb migracyjnych.

- *No mam tak wylot, co ja poradzę...* - procesowałem w głowie, czy może umknęły mi jakieś wiadomości o dramatycznych wydarzeniach w Chittagong, drugim co do wielkości mieście kraju. Ostatecznie ustaliliśmy, że nie wjadę do Chittagong, tylko pojedę prosto na lotnisko. W końcu wbito mi wizę, wpisano termin „30 sierpnia 2019 roku” - gdybym miał fantazję zostania dłużej, to musiałbym przedłużyć prawo pobytu - i pozwolono iść do kontroli wjazdowej.



Miliony banknotów, czyli taka jest Taka za 300 USD.

Bangladesz jest krajem suchym, ale nie do końca. Przylatując możemy kupić do dwóch litrów alkoholu. W sklepie nie było cen, a na każde pytanie padała odpowiedź „Twenty dollars”.

Wziąłem litr whisky i poszedłem do kolejki. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że powinienem był zapłacić 14 USD, ale ponieważ korupcja i burdel, to oszukują. Wagon Cameli kosztował kolejne 20 *dola*, ale coś mi mówiło, że skoro wszyscy kupują fajki, to ma to jakiś sens.

Kolejka do wjazdu do kraju była dość solidnych rozmiarów. Zacząłem rozmawiać ze stojącą za mną Amerykanką, która przyjechała służbowo do Dhaki. Gdy dowiedziała się, że ja turystycznie, to myślała, że sobie jaja robię, bo mówiła, że mieszkała kiedyś w tym raju trzy lata, ale turystycznie to w tym kraju nic nie ma. Dzięki, chciałem to znowu usłyszeć. Przepytałem z listy przewodnikowej, powiedziała, że nie zgłębiła za wiele z tego katalogu atrakcji.

Jeszcze nie wyszedłem z lotniska, a już dwie osoby odradzały mi podróżowanie po kraju. Zachęcało to, nie powiem.

Po tym jak postaliśmy sobie z dobre trzydzieści minut i streścili połowę życia, przyszedł do nas celnik i nakrzyczał, że dlaczego stoimy w tej kolejce skoro dostaliśmy wizy na przyjeździe.

- *Bo nam kazali?*

- *Idźcie po bagaże!* - otworzył nam bramkę i nas pożegnał.

Wziąłem tobół i wyszedłem przed lotnisko. Temperatura plus dwadzieścia stopni wobec klimatyzowanego wnętrza. Zanim zlokalizowałem przystanek, byłem mokry. Wygrałem jeszcze dwójkę Amerykanów, którzy spytali mnie, czy wiem, gdzie tu jest stacja kolejowa. Oczywiście nie wiedziałem, ale zobaczyliśmy pociąg z ludźmi na dachu, więc wydedukowaliśmy, że gdzieś tam dokąd on się udaje.



Malownicza ulica stolicy

Trochę oszukałem celników. Owszem, miałem rezerwację w hotelu, ale już anulowaną. Znalazłem nocleg na Couchsurfing. Uznałem, że to może być jedyna szansa, żeby mieć jakieś sensowne wspomnienia z tego kraju. W hotelu zamknąłbym się w jakimś pokoiku i bał wyjść, a tak CS powinien mnie zmotywować do większej aktywności. A także miałbym kogoś do męczenia pytaniami. Naprawdę, w internecie znajdziemy więcej informacji o turystyce w

Korei Północnej niż o Bangladeszu. Niby jest, ale tak naprawdę nie ma. Nie znalazłem żadnej

dobrze rozpisanej trasy, posługiwałem się więc Mandalay.pl, żeby to w głowie rozplanować. Kontakt z lokalnymi miał mi trochę ułatwić życie i rozdysponowanie dwóch tygodni na zwiedzenie kraju.

Jeszcze zanim dotarłem na przystanek, mogłem stwierdzić, że turystyka campingowa jest bardzo popularna. Jak inaczej wyjaśnić namioty pełne ludzi przy lotnisku? Oczywiście ktoś z tych koczowników chciał ode mnie pieniądze, ale uciekłem.

Na przystanku miałem pytać o Sabah. Sądząc z min pytanych, mogłem równie dobrze pytać o Manhattan. Po jakimś czasie wrzucono mnie w autobus i powiedziano, że to ten. Przysiadł się do mnie jakiś student i przez następne dwadzieścia minut fascynował się moją osobą. Zrobiliśmy sobie wspólnie kilkadziesiąt zdjęć, dotykał mojej głowy, spodni i włosów. Porównywał odcienie skóry. Była to jedna z najbardziej krępujących sytuacji w moim życiu. W końcu wysiedliśmy z autobusu, a Google Maps pokazało jakieś cztery kilometry do miejsca docelowego. Da się przeżyć, nawet z buta, ale szczęśliwie, zakochany we mnie student ogarnął szybko riksę rowerową. Za 100 taka miała dowieźć mnie do celu. Ruszyliśmy razem, dałem mu numer telefonu do człowieka z CS. Okazało się, że nie miał pieniędzy na koncie i nie może dzwonić, ale riksarz podzielił się swoim aparatem. Umówiłem się na za dwadzieścia minut przy meczecie i uznałem, że nie jest źle, dość szybko to idzie. Poza tym, że jestem przepełniony od stóp do głów, cały czas głaskany, riksza rowerowa się trzęsie i chyba wkrótce rozpadnie, a kierowca zaraz umrze na zawał. Mijaliśmy jakiś obłędny slums. Z bocznej uliczki wyszedł facet w przepasce biodrowej. Przyklęknął przy stercie śmieci i zaczął wybierać resztki jedzenia.

- *This is commercial district of Dhaka* – poinformował mnie student. "Jezu, jeżeli takie jest środowisko biznesu, to jak tu wygląda bieda?" - myślałem patrząc na kolejne sterty śmieci i dzieci w nich grzebiące.

Panował przerażający smród, podziękowałem niebiosom, że palę, bo dzięki temu trochę mniej czułem jak pięknie gnieje stolica. Wiele budynków było w stanie między egzystencją a upadkiem: wystawały pręty zbrojeniowe, leżał gruz. Chwilami trudno było stwierdzić, czy budują, czy demolują. W pewnym momencie mój student się pożegnał, zrobił ze mną kolejne zdjęcie, i wysiadł, a ja kontynuowałem podróż już sam. Gdy byliśmy kilkaset metrów od celu, wpakowaliśmy się w gigantyczny korek. Ale taki, że nie dało się ruszyć w żadną stronę. Smród był przerażający. Już wcześniej czułem, że daje śmieciami, błotem, spalinami i moczem, ale dopiero, gdy się zatrzymaliśmy, mogłem na całego wchłonąć tę gamę zapachów.

Po kilku minutach stania w miejscu dałem riksarzowi pieniądze, odmówiłem dania ich więcej i poszedłem na piechotę. Iść też się za bardzo nie dało, ale z racji pewnej unikatowości



Eklektyzm banglijski, blacha falista zawsze na topie.

turystów, przepuszczali mnie bardziej niż swoich. Stałem pod umówionym meczetem, odganiałem się od rikszarzy, odpowiadałem na setki *hello* i *where are you from?*, mając nadzieję, że mój człowiek się wkrótce zjawi. Byłem w centrum starego miasta i nie bardzo miałem plan B, nie widziałem żadnego hotelu (hosteli, w naszym rozumieniu tego słowa, Bangladesz nie ma), było święto narodowe, co nieco wyjaśniało korki, a jego nie było, chociaż to ja się chwilę spóźniłem.

Po jakichś dziesięciu minutach przybył i wybawił mnie. W drodze do swojej siedziby wyjaśnił, że obecnie wynajmuje pokoje także na AirBnB i ma dwójkę Chińczyków, więc musi mnie położyć w magazynie. Jest bardzo blisko i łatwo trafić.

Tak, rzeczywiście, w lewo wzdłuż rynsztoka, obok ludzi się w nim myjących, przez ulicę, znowu w lewo, zastukać do drzwi, przychodzi cieć z kluczem, otwiera dwie kolejne pary drzwi, potem przez skład odpadów produkcyjnych, ostatnie drzwi otworzę własnym kluczem, i już jest się w pokoju bez okien.



Powiew luksusu, czyli nocleg w magazynie

Chciałbym mieć zdjęcie wyrazu mej twarzy, gdy tam weszliśmy. Po prostu nie mam pojęcia, jak musiałem wyglądać. Że byłem przerażony to mało powiedziane. Magazyn był zawalony losowymi odpadami, jakieś kawałki plastiku, literki do Scrabble (same S!), trochę ciuchów, rozpadające się meble, a przede wszystkim wory pełne chyba ubrań.

Z drugiej strony, jak mają gdzieś zabić, to pewnie zabijają w Montrealu, a nie w Dhace.

Zostawiłem rzeczy i poszedłem z moim gospodarzem nacieszyć się wieczorem w ten świąteczny dzień. Był 17 sierpnia, przedłużony weekend związany z dniem żałoby narodowej – 15 sierpnia 1975 roku zamordowano Rahmana, ojca

niepodległości kraju. Spomostowało się to z weekendem, więc kraj miał wolne. Nastroju żałobnego nie było, świąteczny owszem. Imdy wziął Chińczyków, szofera i poszliśmy na dach do jakiegoś znajomego, żeby patrzeć na zachód słońca nad fortem Lalbagh, czyli nad jedną z głównych atrakcji stolicy i kraju. Szczęśliwie pojawiło się jedzenie przypadkowo wegetariańskie i wielka, zimna cola. Siedzieliśmy tak z pół godziny, patrzyli na korki wokół atrakcji, tysiące ludzi wchodzących i wychodzących z parku przy forcie. Chińczycy męczyli go o jakieś możliwości biznesowe, ale ponieważ nie znali ani słowa po angielsku, musieli korzystać z tłumacza. Przyznam, że byłem pod wrażeniem jakości przekładu, dało się komunikować w czasie niemal rzeczywistym.

Gdy nie rozmawialiśmy o ich możliwościach rozkręcenia biznesu, rozmawialiśmy o tym, jak przerobić ten budynek na hostel. To wydawało się do zrobienia, ale problem polega na tym,

że dobrze by było mieć jakichś turystów, żeby coś zarabiać. Obecnie koncepcja hostelu w Bangladeszu nieco odbiega od europejskiej, są one zawsze rozdzielnopłciowe i zazwyczaj mieszkają w nich studenci, ewentualnie migrujący pracownicy. Imdy, mój gospodarz, dużo dość podróżował i chciał stworzyć coś na modłę zachodnią. Ba, gwarantuję, że mieszkaliby u niego wszyscy turyści przybywający do Dhaki. Pytanie, ile by to było osób.

Zachodziło słońce, a ze mnie powoli zaczynał schodzić stres związany z lotem, wizą, dostawaniem się do miasta, znalezieniem chłopa... Muezin śpiewał, a w ostatnich promieniach słońca fort wyglądał całkiem korzystnie. Siedzenie na wysokości jakichś czterech pięter sprawiało, że cuchnęło nieco mniej niż na poziomie ulicy. Nagle zaczęło mi się wydawać, że może jednak coś w tym Bangladeszu jest i że dobrze zrobiłem, że odważyłem się tam przyjechać.



Wakacje nad palmami

Syndrom Dhakijski

Lista rzeczy, których nie należy robić w krajach typu Bangladesz, zaczyna się od picia i jedzenia z niewiadomych źródeł i przygotowanych w sposób niehigieniczny. Jedzenie było za mną – jedliśmy tłusty wypiek rękami prosto z gazety i nawet nurzali go w przyprawach. Przyszedł czas na picie. Imdy zabrał nas do jakiejś ulicznej budy, gdzie za 40 taka dostaliśmy soki. Lokal nie wyglądał na sterylny, ale za to był dość ekologiczny, bo piło się ze szklanek, które po każdym kliencie przepłukiwano stojącą wodą. Starłem się nie myśleć za wiele o bakteriach i chorobach, a pocieszałem się tym, że sok był dość dobry, więc jeżeli skończyłbym na trzy dni w łazience, to przynajmniej chwilę było miło.

Potem opuścili nas Chińczycy, a my poszliśmy odwiedzić wuja, który prowadził aptekę. Posiadanie - choćby na chwilę - obcokrajowca to dość duży plus do statusu społecznego ludności Bangladeszu. Przez dobre czterdzieści minut siedziałem na stołeczku w aptece, a dookoła mnie odbywały się rozmowy po bengalsku. Dostałem obrzydliwie słodką herbatę i patrzyłem jacy to klienci przychodzą. Panował chaos, nikt nie kupował całych opakowań leków, tylko po kilka tabletek, które młodzi aptekarze skwapliwie odcinali. Często nie mogli czegoś znaleźć, co nie było dziwne przy tym, że rzucali wszystko bez ładu i składu na półki. Niektóre opakowania wyglądały już na solidnie po dacie przydatności, ale nie wydawało się to nikomu przeszkadzać.

Wytłumaczono mi też pewien fenomen: wielu starszych mężczyzn ma brody i włosy ufarbowane na pomarańczowo.

Dlaczego?

Żeby zamaskować siwiznę.

Tak, zamiast mieć kilka siwych włosów, lepiej być bardziej pomarańczowym od Trumpa. Na pierwszy rzut niewprawnego oka wygląda to trochę tak, jakby Bangladesz cieszył się dość dużą popularnością wśród paru pokoleń wiekowych punkowców.

W magazynie przeznaczonym na moje leże nie było internetu, ale Imdy mówił, że mogę zawsze przyjść do niego na podjazd i tam siedzieć. Tam miałem odcinek kolejny tego, co znaczy bycie białym w Bangladeszu. Za każdym razem, gdy tylko się pojawiałem, starszy pan podsuwał mi krzesło. Co gorsza, nierzadko sam z niego wstawał. Próbowałem go przekonać, że nie musi, ale gdzie tam. W zamian częstowałem go i pozostałą służbę (a nie było ich mało) Camelami. Cieszyli się, że zachodnie fajki i długo je oglądali.

Gdy w końcu spróbowałem lokalnych, zrozumiałem bardzo dobrze, czemu wszyscy zaopatrują się na bezcłówcę. Lokalne papierosy bywają tanie, ale są fatalne. Droższe, robione na zachodnie (Benson & Hedges, Marlboro) są trochę lepsze, ale dość drogie, zazwyczaj ponad 200 taka. Marki lokalne to około 100 taka. Wiele osób wybiera żucie betelu w liściach. Przynajmniej więc z racji wspierania nałogu pana, czułem się nieco mniej podle przez to, że przeze mnie musiał przesiadać się na ławeczkę.

W pierwszy wieczór umówiliśmy się z Imdym, że następnego dnia o poranku jego kuzyn weźmie mnie na wycieczkę po Dhace. Chciał za to 500 taka, czyli nie bardzo dużo. Z zachwytem przystałem na tę propozycję.

Późny wieczór i nocka w magazynie były dość niezapomnianymi doświadczeniami, głównie za sprawą bogatej oferty owadów. Tłukłem wielkie karaluchy, modliłem się, żeby nie było

komarów. Kilka tygodni wcześniej Dhakę nawiedziła epidemia dengi. Ta urocza choroba podobno sprawia, że człowiek bardzo dobrze pojmuję, ile jest kości w jego ciele, bo czuje jakby mu je wszystkie łamano. Gdy pytałem na Reddicie przed przyjazdem o porady, to napisano mi, że cały czas muszę mieć długi rękaw. Spodnie ok, ale miej tu długi rękaw w jakichś 35 stopniach przy dużej wilgotności powietrza. Humor poprawił mi gospodarz, który poinformował mnie, że Dhaka jest bezpieczna, bo komary szukają do życia czystej wody, żeby móc się rozmnażać. Ponieważ w Dhace panuje totalny syf i zbiorników z czystą wodą nie ma, to komary trzymają się od niej z daleka. Coś mi mówiło, że to nie było do końca planowane rozwiązanie problemu, ale skoro działa, to co narzekać? A do tego jakie by mogli wykuć hasło reklamowe: w naszym mieście panuje zbyt duży syf na malarię i dengę.

Zastanawiało, czy są jakieś choroby, które rozkwitają w tym wszystkim, poza ludzkością. Populacja Dhaki to ponad 20 milionów, każdego dnia do stolicy kraju sprowadza się około dwóch tysięcy osób. O ile moskity udało się już wykończyć, o tyle innego robactwa panuje dostatek, o czym mogłem przekonać się w miejscu nocowania. Czy to łazienka, czy sypialnia, robactwo ganiało niczym kucyki. Dominowały karaluchy, ale było też kilka nieznanych mi okazów. Tłukłem to wszystko z wielką pasją kłapkami, ale było ich więcej niż żołdatów w Armii Czerwonej. Po zgaszeniu światła wydawało mi się, że słyszę tupot małych nóżek.

One does not simply leave a sweatshop in Dhaka – chodziło mi po głowie, gdy szedłem na spotkanie z gospodarzem. Pan strażnik magazynu nie mówił po angielsku, ale przekazał mi komunikacją pozawerbalną, że chciałby pieniądze za otwarcie drzwi. 20 taka zrobiło robotę. Zastanowiło mnie, czy gdyby był pożar, to też brałby 20 taka, zanim otworzyłby zamki dość majestatycznych wrót.

Rano Imdy podjął mnie śniadaniem – soczewica na ostro i trochę ziemniaków. Po mojemu bardziej to obiad, ale takie są nawyki kulinarne w tej części świata. Chwilę po 10 wskoczyłem na motor z kuzynem mojego gospodarza i ruszyliśmy w miasto. Poza zwiedzaniem mieliśmy do zrealizowania dwie misje:

- wymianę waluty
- kupno lokalnej karty sim

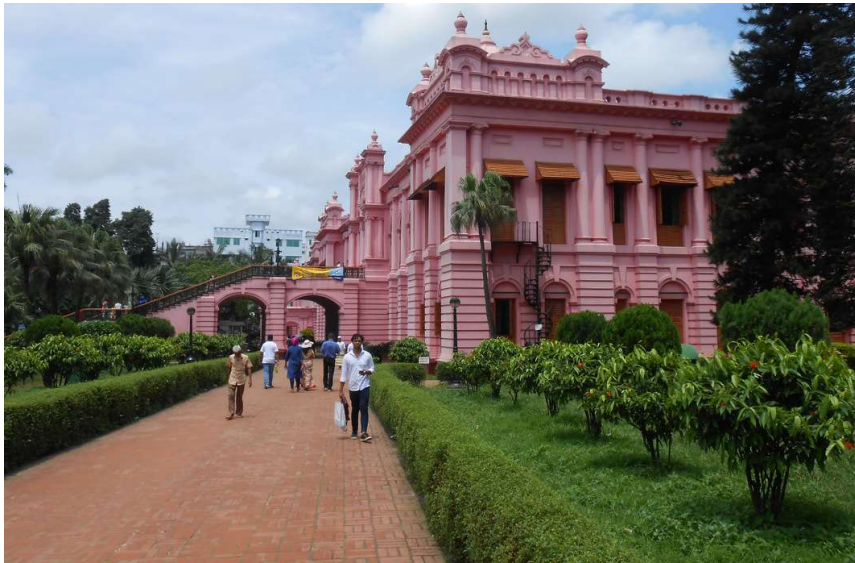
Ile by to zajęło w centrum dowolnego europejskiego miasta?

Dziesięć minut?

To jakby były kolejki.

Kuzyn miał ze sto słów angielskiego, ale wiedział o planie i powiedział, że nie ma sprawy. Najpierw jednak pojechaliśmy zwiedzać największą atrakcję miasta, czyli Różowy Fort. Widziałem, że mój człowiek umie jeździć na motorze, więc nie porobiłem się ze strachu, gdy wciskaliśmy się pomiędzy ludzi, riksze, samochody i stragany.

Przy forcie powitał mnie wstęp za 500 taka. Oczywiście lokalnych kosztuje on nieco inaczej, bodajże 20 taka. Jeszcze tylko w szatni nakrzyczyli na mnie, że zostawiłem Kindla w plecaku,



Nazwa nie kłamie - jest różowy

bo przecież mi go ukradną. Nie pytałem, kto miałby go drutnąć z plecaka zostawionego w zamykanej szafce za plecami szatniarza, ale posłusznie zabrałem ze sobą. Sama atrakcja jest dość pokaźna, ale w środku szalu nie ma, chociaż w pewnym sensie jest. Mamy dość dużo portretów zasłużonych w dziejach kraju. Nie należy spodziewać się przesadnie okazałej reprezentacji kobiet. W gablotach są przedmioty związane z władcami i historią. Miski, wazy i inne przedmioty codziennego użytku zostały

nakryte czapką przez pucharki po lodach z jeszcze zaschniętymi lodami. Pochodziły z 1908 roku. Światowe muzealnictwo może uczyć się od Bangladeszu! Gdzie indziej takie eksponaty? Dodać do tego czaszkę słonia, którego król bardzo lubił i cenił, poprawić ze starych zdjęć i urywków historii kraju i już mamy dobrze spędzoną godzinę.



Ciekawe ile osób dziennie myli te wiaderka z toaletą...

Gdy wychodziliśmy, policjant podszedł po pieniądze za parking. Wywiązała się długa kłótnia,

którą ku własnemu zaskoczeniu rozumiałem. Policjant domagał się stawki nieco odmiennej, bo skoro to pojazd, na którym jeździ biały, to opłaty są inne. Kuzyn nakazywał mu wypierdalać w oparciu o to, że całe życie mieszka w Dhace i jest lokalny. Po jakimś czasie i chyba około 40 taka, przedstawiciel prawa i porządku oddalił się. Zapaliliśmy po Camelu, co wiele nie pomogło we wzburzeniu Kuzyna, który powtarzał, że on jest z Dhaki. Chciałem mu refundować opłatę postojową, ale odmówił przyjęcia pieniędzy. Dał mi też w prezencie guawę. Nie przepadam, ale oczywiście pochwaliłem ten egzotyczny owoc. Gdy tak staliśmy, popatrzyłem dookoła i stwierdziłem, że Dhaka to najbardziej dystopijne miasto świata. Dookoła nas stały sypiące się budynki w rozmiarach biurowców, niektóre już porzucone, inne zamieszkałe chyba na dziko. W tym wszystkim ślady pożarów na ścianach, pranie suszące się czasem i po kilkanaście metrów w górę, pozamykane kraty, chyba też pustostany.



Spontaniczny klasycyzm w Dhace

pieniężmi, to trzeba by jechać do domu właściciela magazynu. Wymieniliśmy komentarze z kuzynem i spasowaliśmy.

W zamian zabrał mnie do kościoła ormiańskiego. Wpis do księgi gości i weszliśmy na teren parafii. Cmentarz z grobami z ostatnich dwustu lat. Udatne rzeźby nagrobne, niektóre zniszczone. Dużo napisów po ormiańsku. W środku raczej cepelia, ale groby z XIX wieku pod nogami, zdewastowane wieżowce nad głową, klimat rewelacyjny.

Pojechaliśmy dalej. Przy muzeum narodowym złożyłem zażalenie: znowu chcą ode mnie 500 taka, ale to moje ostatnie pieniądze. Muszę wymienić te przeklęte amerykańskie dolary na bardziej lokalną walutę. Kuzyn sam przekazał mi, że 500 za ich muzeum, to śmiech i że mam nie iść.

Pojechaliśmy szukać kantoru.

Pojechaliśmy wymieniać pieniądze. Oczywiście nie do kantoru, tylko do składu z ryżem i innymi uprawami. Przez kilka punktów kontrolnych przeszliśmy na zaplecze, gdzie dwóch młodzieńców liczyło wielkie zwiłki taka. Rozumiałem, że rozmowa idzie o tym, że chcę wymienić 200 USD. Telefon. No, z takimi



Po co wam urbanistyka, macie przecież spontaniczną deweloperkę!

Wyglądało to tak, że przez następną godzinę podjeżdżaliśmy pod kolejne centra handlowe, ja wchodziłem do środka i szukałem jakiegoś punktu wymiany walut. Okazywało się, że nie ma, nie działa, nie mogą wymienić USD. Czasem moje poszukiwania prowadziły mnie na dość wysokie kondygnacje, bo strażnik na dole mówił, że tam chyba da się. Nie dało się nigdzie, więc jechaliśmy dalej. W końcu dotarliśmy do budynku, gdzie było kilka kantorów, szybki rzut okiem, 200 USD na taka po kursie lepszym niż na xe.com i w trasę.

Teraz już mogłem chodzić do muzeów. Jednak nie wróciliśmy, pojechaliśmy na herbatę, a potem do muzeum niepodległości. Znowu kuzyn powiedział, że za 500 to można iść na dziwki i kupić heroinę, a nie płacić za bilet wstępu. Oglądałem więc zewnętrzne płaskorzeźby, odpowiedziałem lokalnym na pytania, co robię, zrobiliśmy sobie zdjęcia i pojechali pod pomnik protestów, które miały dość poważny wpływ na uzyskanie niepodległości przez Pakistan Wschodni.



Nic tak nie krzyczy "wolność" jak płaskorzeźba i patos

Po drodze gruchnął deszcz, a pod pomnikiem gruchnęła zebranina. Banglijskie bombelki obiegły mnie całego i niczym mantrę powtarzały „taka, taka, taka”. Oczywiście nie reagowały na żadne „zapraszam, wypierdalać”, więc w końcu my to uczyniliśmy.

- *Pójdiesz do meczetu?*

- *No jaha*

Poszliśmy do meczetu. Zaczęło mnie zastanawiać jedno: czemu mówią, że w Dhace nie ma niczego? Waliłem atrakcję za atrakcją, w Różowym Forcie dało się spokojnie dołożyć godzinę. Jasne, jeżeli ktoś był w Agrze czy Iranie, to mu dhakijskie forty i meczety kasku nie zerwą, ale nie jest to też jakiś beznadziejny syf. Potem jeszcze kuzyn zabrał mnie w bardzo wąskie uliczki, gdzie znalazły się dwie świątynie hinduistyczne. Na otwarcie jednej musieliśmy poczekać z dziesięć minut, więc w tym czasie mogłem odpowiedzieć lokalnym na jakieś trzydzieści pytań. Po angielsku mówił tylko kuzyn, więc chwilami szło to bardzo opornie.



One tańczą dla mnie...

Poszukiwania karty sim zaprowadziły nas do jakiegoś miejsca w bramie, gdzie siedzieli lokalni, my też, a potem wysłali młodego po herbatę. Przyniósł ją i rozlano nam napój do pustych konserw. Kuzyn dość dobrze pamiętał, że mówiłem mu, że jego guawa jest pyszna i dołożył drugą. Myślałem, że zwiomuję, ale zjadłem. Bałem się tylko, że dostanę kolejną, a wtedy skończyłbym w szpitalu.

Kupno karty SIM teoretycznie jest proste: lokalny operator musi skserować

paszport obcokrajowca, dać mu jakiś dokument do wypełnienia i tyle. Niestety, w każdym miejscu, w jakim byliśmy (cztery albo pięć), sprzedawcy nam odmawiali. Najbardziej spodobało mi się wyjaśnienie, że ponieważ jest święto narodowe, to karty się skończyły. Nie sądziłem, że ludzie zmieniają numer telefonu z okazji święta, ale co ja tam wiem.

Pod wieczór poszliśmy zwiedzać fort Lalbagh. Ludzi było stada. Dołączyli do nas znajomi mojego człowieka. Oni też po angielsku nie mówili, ale oczywiście jakaś komunikacja była. Fort jest tak sobie zachowany, a we wnętrzach ekspozycja jest raczej fatalna, jednak cała atmosfera, ogród, wszystko na plus. Na minus przerażający smród, znowu dostałem dramatycznego kataru i kichałem co chwilę.



Typowa scena uliczna: chaos, smród, wrzask

W restauracji zyskałem kolejnych przyjaciół na popularnym portalu społecznościowym. Zaczynało mnie to trochę przerażać, bo każdy, kto zamienił ze mną choćby kilka słów, chciał mnie od razu dodawać do znajomych na Fejsie. Człowiek chce być miły, więc dodaje, ale racjonalnie sprawy ujmując, o jakim podtrzymywaniu znajomości mówimy skoro ledwo jesteśmy w stanie się komunikować? Postanowiłem jakoś się tym nie zamęczać, jeżeli komuś sprawi radość dodanie sobie białego do znajomych, to proszę.

Po posiłku zapytano mnie, czy chcę odwiedzić dom jednego z kolegów kuzyna. Poproszono kuzyna o wypożyczenie mnie na motor solidnie większych rozmiarów. Oczywiście kierowca odwalił i pojechał tak, że gdyby nie było upału, to musiałbym przebierać gacie. Dotarliśmy do jakiejś rudery, przy wejściu w kolejce do bardzo brzydko wyglądającego źródła z wodą stali lokalni, oczywiście same dzieci i kobiety. Udaliśmy się na piętro, oczywiście wszystko brudne i sypiące się, totalna prowizorka, blacha falista, deski.

Okazało się, że to biuro poselskie jednego z mych nowych przyjaciół, który był także lokalnym posłem. Plakaty z jego szlachetną twarzą patrzyły na nas z wielu miejsc. Włączył telewizor, upewnił się, że jest wystarczająco głośno, żeby nie dało się rozmawiać i oprowadził mnie po może 30 metrach kwadratowych. Tak więc poza biurem, lokal ten spełniał także rolę kasyna, burdelu, miejsca spożywania alkoholu, a w pokoju obok był wielki magazyn taniej biżuterii – bo na tym lokalna odpowiedź na Martina Luthera Kinga zbiła majątek.

Otworzył szafkę, dobył ze trzy piwa i rozpoczęliśmy libację. Piwo nie byłoby złe, gdyby nie to, że leżało w szafce, temperatura była w okolicach 40 stopni. Cud, że nie eksplodowało. Paliliśmy i rozmawiali, a raczej komunikowali się. Przyszły jego dzieci, córka powiedziała jedno słowo, które już bardzo dobrze znałem i rozumiałem.

- *Taka*.

Taka zostało wydane. Potem kilkuletni syn siedział mi na kolanach, ja z petem i piwem, zdjęcia pamiątkowe. Córka, może nastoletnia, wydawała się dość zainteresowana moją osobą, uśmiechała się i machała. Bałem się, że będzie temat ślubu – co z tego, że już po jednym jestem, w końcu u nich można być po kilku – ale po pobraniu więcej *taka*, poszła sobie. Ruszyły dwa tematy: picia whisky i zadzwonienia po dziwki. W sumie było to dość podobne do imprez zachodnich, tylko u nas zazwyczaj najpierw się pije, a dopiero potem ktoś wpada na pomysł, żeby zadzwonić. Walczyłem o realizację połowy postulatów, czyli skośnięcia flaszki, kurtyzan nie. Drugie piwo smakowało gorzej niż pierwsze, ale moi nowi znajomi byli pod wrażeniem, że dam radę dwa.

Dwa piwa 0,33 ml. Trzeciego nie było.

Tytan spożycia.

Jeszcze napisałem panu zaproszenie do Polski – widziałem, że piwo *Hunter's* sieje spustoszenie. Pan w życiu o Polsce nie słyszał, ale stwierdził, że jak tam są tacy ludzie jak ja, to jedzie. Szczęśliwie, ich władza skutecznie utrudnia im realizację takich ułańskich (czy też mogulskich) fantazji. Jeszcze posiedzieliśmy, kuzyn w pewnym momencie zarządził koniec imprezy i pożegnaliśmy się.



Młot na islamską prohibicję

W drodze powrotnej poznałem rodzinę kuzyna. To spotkanie było mniej odjechane, może dlatego, że jego żona była w hidżabie, a dzieci się bały, że stary wpada po zmroku z jakimś zapoconym obcym białym, który cały czas kaszle i kicha. Ostatecznie koło 20 wróciliśmy do punktu wyjścia.

Pytałem długo Imdiego ile mam zapłacić i że za mało sobie krzyknął. Cały dzień mnie woził, zabawiał, kupował herbatę na krawężniku. Niestety, nie udało się, mam dać tyle, co było umówione, żadnych napiwków, a tamten i tak będzie kontent. Zapłaciłem, podziękowałem ze sto razy, oferowałem Camele. Pożegnaliśmy się, a ja poszedłem do magazynu odpadów wszelakich.



Tygrys z Cheshire

Byłem zachwycony. Dawno nie miałem takiego fajnego dnia. Wszystko totalnie lokalnie, milion rzeczy, których bym nie wymyślił. Zacząłem odzyskiwać wiarę w Couchsurfing. Wymiar finansowy był bardzo umiarkowany, a wrażeń hektary. Trochę tych atrakcji się zebrało, a że wszyscy zgodnie pisali, że w Dhace nie będzie niczego, to właśnie tego oczekiwałem. Tymczasem po pierwszym dniu zwiedzania stolicy Bangladeszu, nie mogłem się doczekać kolejnego.

Rozpoczął się on od starcia z odźwiernym. Po raz kolejny powitał mnie międzynarodowym gestem sugerującym przekazanie mu *taka* za

otwarcie drzwi. Próbowałem, po starej znajomości, dać mu 10 *taka* zamiast 20, ale nie zgodził się. W końcu jak praca, to i płaca.

Plan zakładał, że drugiego dnia sam będę odkrywał sekrety Dhaki. Plan zakładał też wizytę w muzeum narodowym, zoo i ogrodzie botanicznym. Po drodze zakup biletów na łódź do Khulny i pamiątkowych koszulek narodowych. Zastanawiałem się, czy uda mi się zrobić chociaż jedną z rzeczy z tej ambitnej listy.

Szczęśliwie, zanim dotarłem do muzeum, internetowy kolega z Dhaki napisał mi, że zamknięte. Dobra, to po bilety na łódź. Cztery kilometry, a przejdę się. Daleko nie dotarłem, gdy zatrzymał mnie jakiś lokalny. Że tu jest meczet szyicki i że ja go muszę zobaczyć. Koniecznie!!!

Pomyślałem, że pewnie skończy się na tym, że będę musiał oddać jakieś *taka*, zobaczę jakiś trzeciorzędni chlew, a do tego będzie wielka kłótnia. Myliłem się. Meczet był naprawdę dość dobry i odmienny od pozostałych. Do tego miał wielki zbiornik ablucyjny, w którym raczej ciężko byłoby się umyć, ale za to zamieszkały w nim kaczki, a te zwierzęta zawsze wywołują we mnie pozytywne uczucia. Po wizycie pan życzył mi miłego dnia i oddalił się w swoją stronę. Po Indiach, Nepalu, Tajlandii, właściwie jakimkolwiek kraju, to był absolutny szok. Takich rzeczy już nie ma, nie zdarzają się. Ktoś bezinteresownie chce pokazać ci coś, bo uważa, że jest to ładne, ciekawe, życzy sobie, żebyś zapamiętał to miejsce. Niewiarygodne. Dzień właściwie dopiero się zaczynał, a Bangladesz już ugrał kilka punktów w moim rankingu

najmilszych krajów świata. Niestety, poza meczetem był chlew, śmieci, smród i to specyficzne błoto, którego nigdy poza Dhaką nie widziałem, a przede wszystkim nie czułem.

Wizyta na targu ubrań przyniosła pewne rozczarowanie. Oczywiście po angielsku nie mówił prawie nikt, ale po długiej walce znalazłem koszulki z flagami narodowymi, niestety w rozmiarze dziecięcym. To i tak było nieźle w porównaniu z tym, jak mi poszło z biletami na prom. Dotarłem do *Commercial District of Dhaka*, gdzie dwa dni wcześniej widziałem ludzi grzebiących w śmieciach. Znalazłem biuro podróży, przysięgam, że adres z Google Maps słabo korespondował z rzeczywistością i to nie było po nitce do kłębka. Tam zdziwili się, że klient, ale bardzo się ucieszyli i dobre dwadzieścia minut zajęło im wyjaśnianie mi, że oni tych biletów na łódzie do Khulny nie mają, ale znają kogoś kto ma. Ostatecznie zamówili mi riksę, wysłali na nabrzeże.

Rikszarz wyruchał mnie we wszystkie dziury, a potem okazało się, że w tym miejscu biletów kupić się nie da. Jakoś na migi pokazali, żeby iść „oooo taaaaam”. O tam akurat koparka niszczyła jakieś zabudowania i zebrał się spory tłum.



Śmieci, rynsztok i świetnie zabezpieczona dziura w drodze

Dołączyłem do niego i tak szybko stałem się taką konkurencją dla koparki, że poszedłem szukać dalej. Po jakichś dwóch kilometrach i licznych próbach kupna biletów, okazało się, że źle poszedłem.

Powrót. Jakiś nieoznakowany budynek, trzecie piętro. Siedzi pan i ma bilety na statek do Khulny, do tego mówi po angielsku:

- *Jeden na jutro poproszę.*
- *Pierwsza klasa? Jest bardzo piękna i wygodna.*
- *Nie, nie.*
- *Druga? Też jest ładna i wygodna, ale nie ma prywatnej łazienki, a także pokój będzie pan musiał z kimś dzielić.*
- *Nie, nie. Nie druga.*

Imdy mówił, że nie ma chuja, że mi sprzedadzą bydlęcą. Ja postanowiłem spróbować.

- *TRZECIĄ KLASĄ??? Ja takich nie mam. To sobie możesz zawsze kupić na wejściu. Tu są tylko rezerwacje* – pan był wyraźnie rozczarowany moim podejściem do podróżowania.

Wyszedłem z biura. Dochodziła 14. Zero sukcesów, za to oceany wrażeń. Postanowiłem spróbować zoo.

Na wielkiej estakadzie świeciło o dobre pięć stopni więcej niż na nabrzeżu. Zaczynałem dostawać udaru, smog jaki wisiał sprawiał, że Kraków w grudniu zaczynał wydawać się sanatorium. Przy pomocy pana z kijem (super etat – stoisz z kijem na przystanku i tłuczesz

autobusy, żeby odjechały) złapałem bus do Mirpur, dość luksusowej (czytaj: mniej przerażająco biednej i brudnej) dzielnicy stolicy.

- *Bangladesh overpopulation big problem* – usłyszałem wisząc na stopniach autobusu.

Przynajmniej mieściłem się w środku, co cieszyło, bo na milimetry mijaliśmy inne busy. Po kilku przystankach wrzucono mnie do sekcji koło kierowcy, gdzie siedziały same kobiety w hidżabach. Jezu, Mahomecie, trzęsie jak na polskiej krajówce, przecież jak ja na którąś wpadnę, to będzie skandal dyplomatyczny – myślałem siedząc najprościej jak się dało. Przynajmniej panie w hidżabach nie chciały się ze mną zaprzyjaźniać.



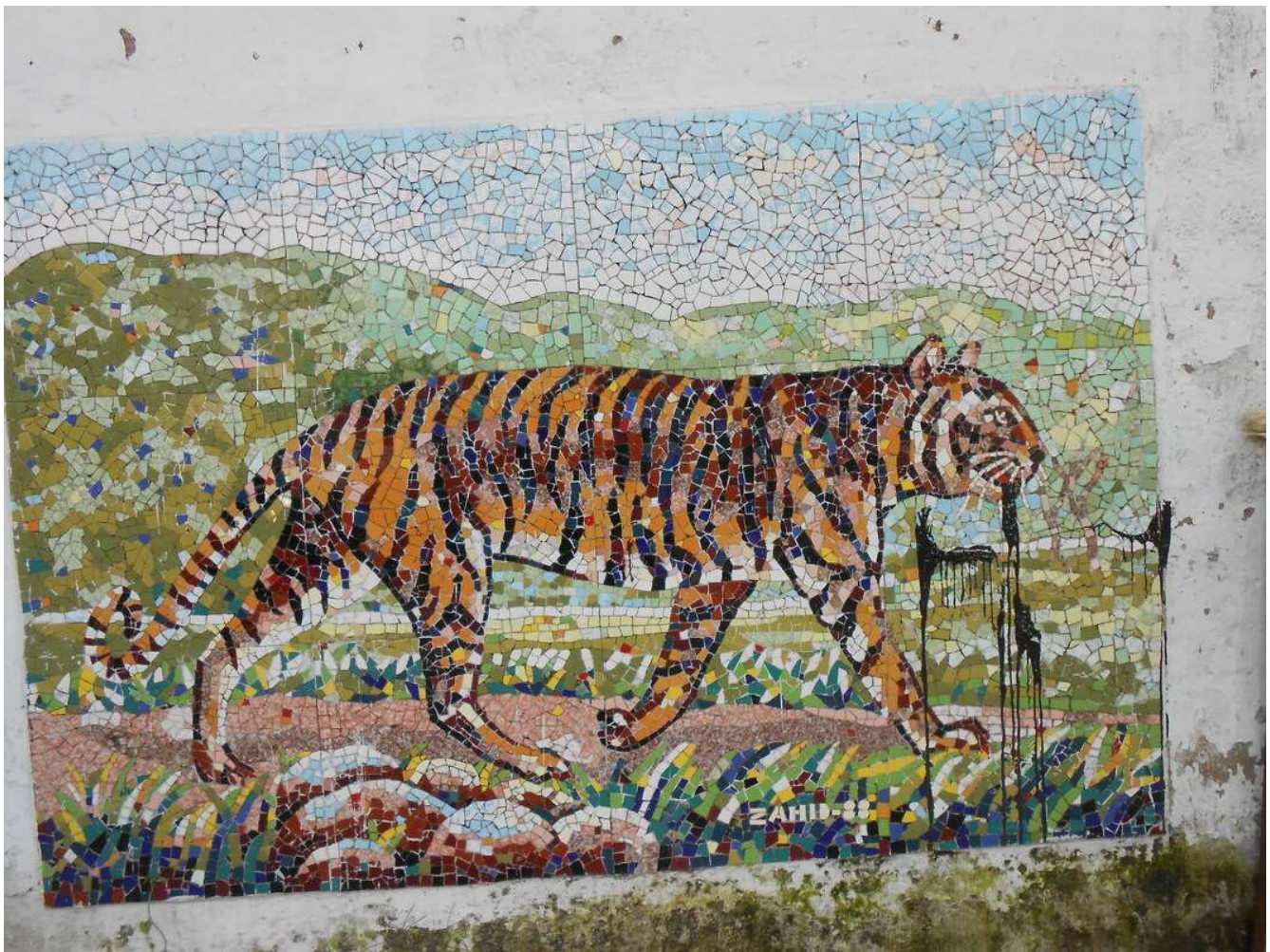
Obiekt kultu jenocio-aligatorzego

Już w jakieś 90 minut później wysiadłem pod zoo. Obiekt ten nie jest wpisany do zbyt wielu przewodników, więc tu jeszcze nie dotarły pomysły na inne ceny biletów dla obcokrajowców. Zapłaciłem jakieś grosze i ruszyłem szukać krokodyli. Jeszcze dobrze nie wszedłem, a już mogłem kilka razy odpowiedzieć na pytanie kim jestem, skąd jestem, czy Bangladesz jest cudowny. Właściwie całe moje zwiedzanie zoo związane było z robieniem sobie zdjęć z kolejnymi ludźmi, nierzadko rodzinami lub parami na randkach. W ciągu jakiejs półtorej godziny do zdjęć pozowałem około 20 razy, zacząłem się w pewnym momencie gubić. Zapamiętałem

bardzo dobrze pana, który przedstawił się jako nauczyciel angielskiego, a następnie zapytał mnie o opcję religijną.

- *Chrześcijanin* – z trudem powiedziałem, ale podobno Islam uznaje ateizm za obrazę.
- *Musisz przeczytać książkę, która zmieni twoje życie. Ta książka to Koran.*
- *Już kiedyś trochę czytałem...*
- *Tak, koniecznie, Koran, chodzi o zbawienie twojej duszy.*
- *Dobrze, przeczytam.*
- *Koran należy czytać w oryginale, musisz nauczyć się arabskiego.*

Do wieczora na pewno ogarnę arabski w wariancie z VII wieku. Oczywiście powiedziałem, że się nauczę. Ponieważ liczba ciekawych spotkań zaczęła mnie przytłaczać, po szybkim stwierdzeniu, że zoo jest złe, ale gorzej też już bywało, przeniósłem się do pobliskich ogrodów botanicznych. Tam wstęp kosztował śmieszne 20 taka i było nieco spokojniej. Parę rodzin chciało mieć zdjęcia, ktoś o coś pytał, ale naprawdę, po zoo to była cisza i spokój.



Całkiem udana mozaika z tygrysem

Powracanie z tego końca miasta zajęło mi dwie godziny. Po drodze zaliczyłem chryję w busie, bo pan bileter uznał, że biały może zapłacić cztery razy więcej niż lokalny. Przyznam, że była to krótka piłka.

- 200 taka.

- Nie. Wszyscy płacą 50, masz 50.

Koniec.

Spacer wieczorową porą zaowocował odkryciem, że duża część młodzieży w Dhace jest świadoma ekologicznie i poświęca się recyklingowi. Na ludzki: kilkuletnie dzieci przewalają gołymi rękami sterty gnijących śmieci, próbując w nich wyszukać czegokolwiek, co można sprzedać. Nie powiem, że czułem się bardzo komfortowo mijając takie grupki lub dorosłych bezdomnych, którzy lali do rynsztoków, a myli się na krawężniku. Nędza w Dhace jest potężna, a spacer po zmroku trudno określić mianem relaksujących.

W restauracji zaliczyłem kolejne starcie z mentalnością „jebać turystę”. Zamówiłem to samo, co dzień wcześniej (bo tyle było opcji wege) i zapłaciłem 20% więcej, bo doliczyli mi obsługę. Na moje „wczoraj, kurwa, nie było tipów” powiedzieli, że wczoraj zapomnieli doliczyć.

Powiedziałem, że wiem, że mnie okradają, ale proszę, jakieś 35 taka. Śmiali się tylko.

Po powrocie do mieszkania Imdy podjął mnie szklaneczką whisky. Te opowieści o suchości kraju koncentrują się na pieniądzach: jeżeli stać cię żeby płacić okolice 100 PLN za butelkę



Reklama dżwigni handlu!

cięższego alkoholu, około 6 PLN za małe piwo, to możesz sobie pić. Dodać do tego należy kłopoty ze zdobyciem – w dużych miastach sklepy są poukrywane i czynne tylko w raczej krótkich godzinach. Dzięki temu znacznie popularniejsza jest Yaba, pochodzący z Tajlandii narkotyk będący mieszaniną metamfetaminy z kofeiną. W wersji najpodlejszej kosztuje jakieś 3-4 USD, użytkowników są tysiące. Jedni biorą rekreacyjnie, inni żeby pracować nocami. Tu akcyzy nie ma, legalnych okien sprzedaży też nie. Pytałem Imdiego, pytałem paru innych osób i wszyscy zgodnie zeznali, że yaba (zwana też baba, guti, laal, a w Chinach maguo) to świetny sposób, żeby oszaleć, zająchać

sobie organizm i ogólnie szybciej zobaczyć się z Allahem. Cieszyłem się więc, że mój gospodarz jednak podjął mnie whisky, a nie tą egzotyczną używką.

Opowiedziałem mu mój dzień, z naciskiem na to, że męczące jest ciągle bycie męczonym o pieniądze. Jasne, to są grosze, ale na litość boską, ileż można? O ile z busem i restauracją nie dało się wiele zrobić, o tyle przypadkiem spowodowałem dramat.

- Daję odźwiernemu 20 taka, to nie jest przypadkiem za mało?
- Jakie 20 taka?
- No za otwarcie mnie rano.
- ON MA CZELNOŚĆ CHCIEĆ OD CIEBIE PIENIĘDZY?

Po opowieściach o moich porankach, padł temat:

- Idziemy robić gnój.

W drodze do magazynu Imdy wyznał mi, że zatrudniają ludzi starszych, których nikt by nie zatrudnił. Że wspierają też ludzi po wypadkach. Jednak już nie raz i nie dwa mieli problemy, bo tym się wydaje, że pańskie oko nie widzi poza swój luksusowy dom. Potem oni kombinują, żeby zarobić na boku grosze i bywają z tego problemy. Przy magazynie znaleźliśmy znanego mi z



Coś mi mówi, że te firmy mogą mieć wzięcie

poranków pana. Rozpoczął się festiwal krzyku w Bengali. Rozumiałem z tego wszystkiego jedno słowo, *taka*. Szybciutko zebrał się tłum. Starszy pan zaczął płakać. Audytorium pełne, bilety wyprzedane. Trwało to i trwało. On płakał jeszcze bardziej. Dużo krzyku. Słowo „taka” padało co kilka sekund. Gdy to wszystko się skończyło i dotarłem do mej części magazynu, miałem tak dosyć, że już tylko chciałem paść i nigdy nie wychodzić. Moralne zwycięstwo było moje, ale 20 *taka* to złotówka, więc nie do końca się cieszyłem, że ojca rodziny w wieku emerytalnym zniszczono na oczach połowy średniej klasy dhakijskiego slumsu za przekręt stulecia na 2 PLN. Bardzo dokładnie zamknąłem wszystkie możliwe zasuwki i postanowiłem mieć nadzieję, że w nocy nie będzie pożaru.

Road to Khulna



O Radości, iskro bogów, kwiecie dhakijskich cór!

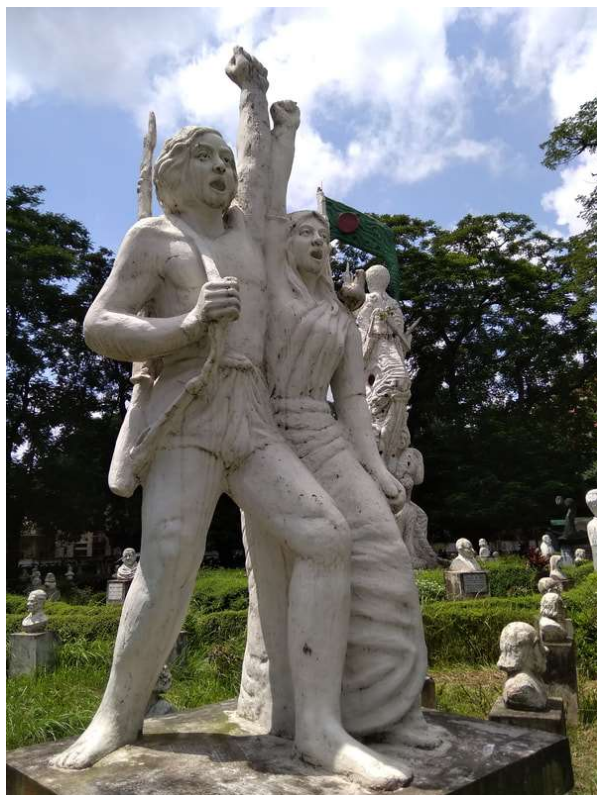
Ostatni dzień w Dhace. Serce nie krwawiło z tego powodu. Na liście rzeczy do zaliczenia pozostawała patriotyczna koszulka i muzeum narodowe. Imdy powiedział, że też się przejdzie, bo w sumie dawno nie był. Ciesząc się, że nie muszę co chwilę sprawdzać drogi w telefonie (bo poetyka Google Maps różnie interpretuje błotne zaułki, niektóre ma, a niektórych nie), spakowałem dwa litry zimnej wody, dużo taka i ruszyliśmy.

Okazało się, że mój gospodarz znacznie częściej przemieszcza się riksą niż piechotą. Zabłądziliśmy solidnie, najpierw dlatego, że chciałem zobaczyć filię mego pracodawcy w Dhace. Była. Otoczona drutem kolczastym, strażnikami i banerami reklamowymi. W Warszawie jednak jest łatwiej. Za to bannery

niemal 1:1 takie jak w Polsce, tylko modelowych uczniów zmieniono na bardziej lokalnych.

Uniwersytet ma imponujących rozmiarów terytorium, ale niestety, dość mało bram, więc błądziliśmy po nim dobre dwadzieścia minut. W końcu dotarliśmy do muzeum, on zapłacił chyba 25 *taka*, ja 500. Jeszcze tylko standardowy opierdół w szatni („nie zostawiać nic cennego, bo zginie!!!”) i mogliśmy zobaczyć najlepsze muzeum Bangladeszu.

Jest tak w pół stawki muzeów regionu: jest ogromne, ekspozycje dotyczą wszystkiego: rolnictwa, przemysłu, mniejszości etnicznych, geografii, fauny, flory i historii, z naciskiem na odzyskanie niepodległości. Oczywiście nie brakuje nieśmiertelnej archeologii. Niektóre eksponaty i ekspozycje są nadgryzione zębem czasu, a inne całą jego szczęką. Chodzi się po tym niezgorzej, chwilami przebiegając spędziliśmy tam trzy godziny. Najbardziej podobała mi się sekcja zdobywania niepodległości przez dawny Pakistan Wschodni. Azja to niesamowity kontynent, gdzie nie popatrzyysz, to znajdziesz ludobójstwo, czystkę etniczną lub coś równie radosnego. U „nas” się o tym nawet nie wspomina, a potem człowiek



To jeszcze w drodze do muzeum: niepodległość. Straszne musiały to być czasy.

jedzie i odkrywa, że tam więcej historii szaleństwa niż u „nas”. A potem wychodzi, że jednak nie, bo tamten obłęd wydaje się dziwny, tylko dlatego, że go nie znamy. Fajnie się to zwiedzało z bardzo ogarniętym lokalnym, który może nie był w stanie odpowiedzieć na wszystkie pytania, ale przynajmniej na sporą ich część.



Hazard to straszny nałóg, zwłaszcza wśród tygrysów

To w ogóle był dziwnie prosty dzień, w kilkanaście minut po opuszczeniu muzeum miałem koszulkę z mapą Bangladeszu. Do tego za grosze jakieś i nawet w niezłej jakości.

Zaordynowałem lunch, a raczej śniadanie – bo jakoś się wcześniej nie złożyło. Imdy zabrał mnie do restauracji dla klasy średniej. Standardy były nieco odmienne od naszych lokali dla ludzi tego profilu, wyglądało raczej czysto, ale oczywiście jadło się rękami, a wydawało się, że niezbywalną częścią etykiety jest narobienie solidnego chlewu dookoła siebie. Najwyżej punktowany był chyba burdel z kurczaka, na drugim miejscu ryż, znacznie niżej oceniano warzywny rozgardiasz. Nawet mając przy sobie człowieka biegłego w języku lokalnym, trudno było wyczarować wegetariański szal, skończyło się na ryżu, sosie w stylu curry, papryce i cebuli. Byłem już tak głodny, że było mi obojętne. W ramach odkrywania kultur bakterii dostałem burhani, lokalny napój mleczny z przyprawami w stylu kminu rzymskiego. Podołałem, nie pochorowałem się, ale na szczęście już nigdy więcej nie musiałem tego pić.



I powiozq nas rikszzq do nieba...

Zbliżał się czas zwijania żagli z Dhaki. Musieliśmy wrócić do domu, więc lmdy mógł odkryć, co to znaczy mieć turystę przy sobie. Wszyscy taksjarze-rikszarze rzucali absurdalne ceny i nikt nie chciał jechać w ludzkiej. W końcu poszedł za róg, ja usiadłem na zydelku pana ochroniarza (bo ten uparł się, że nie mogę stać). Gdy spoczywałem, właściciel siedziska odganiał werbalnie żebraków. Przyznam, że moje socjalistyczne części umysłu wyjątkowo spały spokojnie. Nie wiem, ile razy tego dnia robiłem sobie z kimś zdjęcia, odpowiadałem na jakieś dziwne „hello” lub rozmawiałem o daniu *taka*, ewentualnie papierosów. Gdy lmdy w końcu wrócił z rikszzą, zrobił się burdel, że owszem, miały jechać dwie osoby, ale przecież biały to się inaczej liczy. Uwielbiam to, że w Europie modlimy się nad urazą uczuć imigrantów, a w większości krajów azjatyckich walą ci z grubej rury między oczy: płac, chuju, więcej, bo masz więcej od nas. Mam, ale ile bym wam nie zapłacił, to nie zmieni tego, jak wygląda wasze życie.



Z całym szacunkiem dla skomplikowanych socjologicznie-społecznych warunków waszych żyć, które to są wynikiem kapitalistyczno-socjalistycznej walki klas we współczesnym Bangladeszu, nie dam wam taka.

Dotarliśmy, wziąłem bety, pożegnałem się ze służbą i pojechaliśmy riksą. Już dawno było mi bardzo głupio, że zajmuję czas mojemu gospodarzowi. Gdy postanowił jechać ze mną do portu, zrobiło mi się głupio do szczęcianu. Kiedyś Couchsurfing naprawdę tak działał, że się rzucało swoim życiem, żeby uprzyjemnić osobie odwiedzającej pobyt, jednak w Europie te czasy dawno minęły. Ale nie w Bangladeszu. Tam dalej można natknąć się na specjalne traktowanie, gdy jest się turystą. Kij ma jednak dwa końce, patrz: żebranina, papierosy, *taka*, ceny riks i biletów autobusowych.

W drodze do portu utknęliśmy w wyjątkowo imponującym korku. Totalny zator, powietrze można było ciąć nożem, hałas przebijał koncerty Slayera, a temperatura tę właściwą dla pieców tandoori. Dobrze, że wszystko zaplanowaliśmy z solidnym okładem.



*Parostatkiem w piękny rejs, statkiem na parę w piękny rejs / Przy wtórze
klątw bosmana, głośnych krzyków aż od rana / Tak śpiewnie dusza łka*

W końcu nabrzeże i jest jedna z największych przewodnikowych atrakcji Bangladeszu: Rocket, czyli prawiekowa łódź. Weszliśmy na pokład, dowiedzieli, że bilety sprzedadzą potem i że będą po 275 *taka*. Znaleźliśmy miejsce na pokładzie, padli sobie w ramiona i pożegnali się. Nie wiedziałem, co mówić, zaprosić do Polski? Równie dobrze mógłbym na Wenus. Oczywiście zaprosiłem, nadziękowałem się po wsze czasy.

Gdy mój dhakijski przyjaciel oddalił się, dokonałem szybkiego podsumowania ostatnich trzech dni:

Dhaka, która miała być koszmarem wszech czasów, okazała się średnio fatalnym miastem azjatyckim ogromnych rozmiarów. Atrakcje nie zabijają, jasne, nie ma Luwru, ale nie nudziłem się. I Lalbagh, i Różowy Fort są całkiem dobre, muzeum jest dobre, zoo i ogrody botaniczne pocieszne. Spacery po mieście to obłęd najwyższej azjatyckiej próby – bieda, brud, upierdliwi krajowcy. O ile Banglijczycy raczej wolą Kalkutę, dla mnie Dhaka była miastem mniej męczącym. Chyba nawet Delhi bardziej mnie kiedyś wykończyło. Na pewno Manila i Jakarta są gorsze. Teheran chyba też. Jednak jeszcze jakąś chwilę Dhaka może nie wygrać rankingu na najbardziej romantyczne weekendy dla par i nowożeńców. Nic nie mogło mnie przygotować na ten przerażający smród spowijający połacie stolicy.

Z nadzieją wyglądałem kolejnego miejsca na trasie, czyli Khulny. Droga tam miała być jedną z największych atrakcji kraju, czyli rejsem Rakietą po rzekach Bangladeszu.

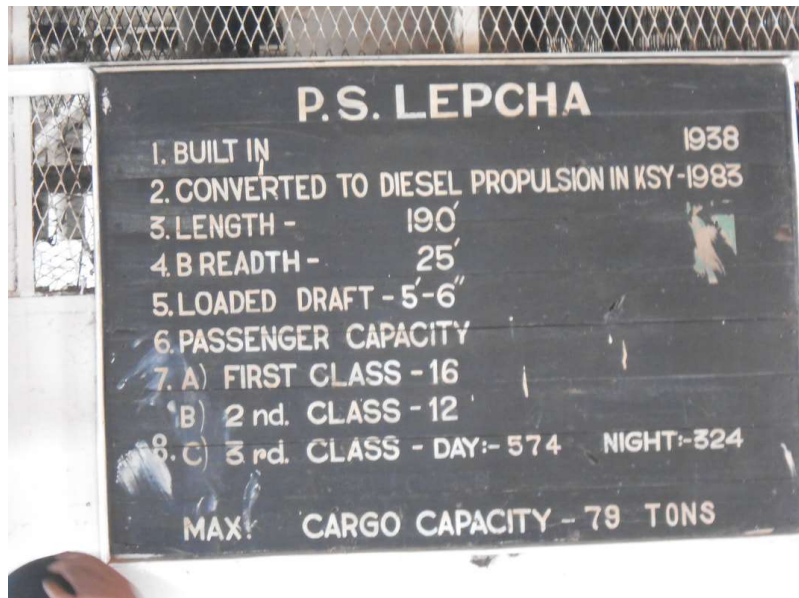
Odpłynęliśmy i po dwudziestu minutach przybili do innej przystani, oczywiście też w Dhace. Nakazano mi wysiąść i iść po bilet. Z żalem zostawiałem dobre miejsce i poszedłem na nabrzeże. Z duszą na ramieniu przeszedłem przez trap w postaci deski i nabyłem bilet. Nie oszukali, 275 *taka*. Pomyślałem, że kupię jakieś prześcieradło lub ręcznik, bo widziałem, że taki jest standard podróżowania. Po upewnieniu się, że mam ponad czterdzieści minut do odpłynięcia, ruszyłem na targ.

Cebula. Cebula. Cebula. Kilkaset metrów cebuli. Postanowiłem odbić w stronę interioru.
Ziemniaki. Ziemniaki. Ziemniaki. Pójdę w lewo.
Papryka. Papryka. Papryka.
Poddaję się, wracam.

Na łodzi zrobiło się nieco gęściej, ale jeszcze bez dramatu. Dochodziła 18, gdy odbiliśmy. Leżałem sobie z Kindlem na deskach pokładu. Było nawet czysto. Co kilka minut patrzyłem w prawo lub lewo i podziwiałem widoki, najpierw Dhaki, potem trochę względnej dziczy, a potem zapadła noc. Co jakiś czas przybijaliśmy do brzegu i ludzi przybywało.

Oczywiście największą atrakcją tej całej eskapady był biały siedzący w klasie ogólnej. Liczby urojone odpadają przy tym, ile razy

musiałem się przedstawić, powiedzieć, że Bangladesz jest piękny, że płynę do Khulny, że nie jestem muzułmaninem, że *kristjan*. Bywały chwile, że przez dobre dwadzieścia minut odpowiadałem na pytania. Wszystko to było w totalnie połamanym angielskim, takim nawet trudno powiedzieć, że A1. *Country? Bangladesh good? You friend? You Muslim? You happy? You wife?* Chłopaki z kuchni zapraszali mnie zapalić, co wiązało się z tym, że byłem zielony z przepalenia, bo zamiast zapalić sobie jednego, to paliłem ze cztery. Oni moje Camele, ja ich lokalny towar o mocy Białomorów.



Kiedyś to umieli budować...



Po prawej sektor żeński. Po lewej samce. W środku jenot, więc nie da rady, oba samce.

Człowiek się cieszy, że ludzie mili, że chcą się poznać, ale po czterech godzinach rozważyłem rzucenie się w nurt rzeki. Było to po tym, gdy zjawił się jakiś facet w średnim wieku, który uparł się, że muszę z nim wysiąść i jechać mieszkać do chaty na zadupiu, bo on tam w ogródku ma buddyjskie ruiny z VII wieku. To nawet mogła być prawda, ale jakoś zeszło na to, że nie jem mięsa. Powiedział, że na czas mojej wizyty – obliczył ją na trzy dni – jego rodzina przejdzie na wegetarianizm. Nakazał nie spać koło 3 w nocy, bo wtedy będzie wysiadał.

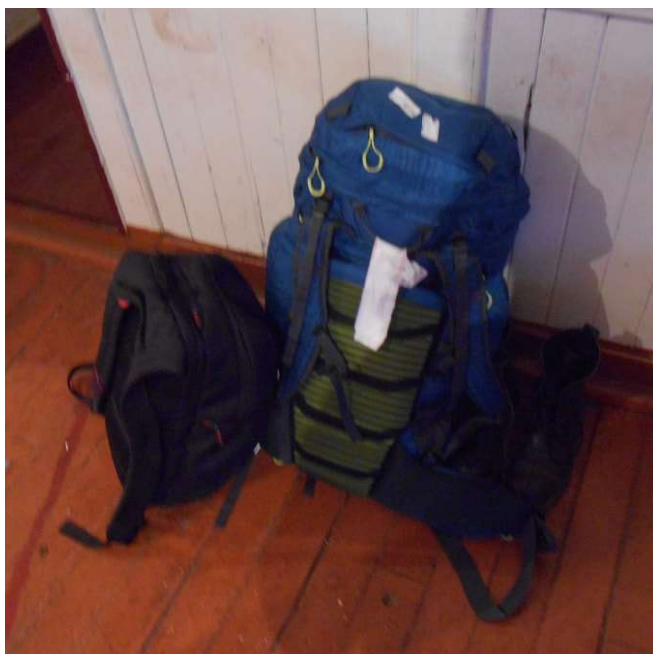
Rozmawiali ze mną jedynie mężczyźni. Sekcja kobieco-dziecięca była zaraz obok,

widzieliśmy się, one w strojach zdecydowanie nie odsłaniających okolic bikini. Ciekawe, czy miały lepszy poziom angielskiego, ciekawe, czy pytałyby o te same rzeczy, co mężczyźni, czy o coś innego. Nie było jak się dowiedzieć, sznurki rozwieszono z każdej strony – *you can look but you better not touch* na całego, dla obu stron tej skromnej wymiany między kulturami świata. Niektóre z nich patrzyły na mnie przez bite dwie trzy godziny. Naprawdę, ilekroć odrywałem wzrok od Kindla, spotykałem ślepią ciskającą gromy spod hidżabów. Trudno było powiedzieć, czy chcą mordować, czy umówić się do kina. Obie opcje miały w sobie coś pociągającego, ale żadna się nie ziściła. Dzieci ogólnie miały w pompie wszystko, co się działo, chociaż mogły sobie dowolnie przechodzić między różnymi strefami, niezależnie od płci i wieku.

Koło północy dosiadł się jakiś hektar ludzi. Stan pasażerów podwoił się. Dwójka studentów podbiła do mnie z propozycją barteru: oni rozłożą swoje prześcieradło na moim miejscu i wszyscy będziemy na nim spali. W zamian ja będę leżał na boku, wtedy oni też się zmieszczą. Co miałem zrobić, zgodziłem się. W ten sposób mój stan posiadania podłogi skurczył się. Z jednej strony miałem studenta, z drugiej jakiegoś emerytowanego suchotnika. Gdy ktoś z nas chciał się ruszyć, przylegli też jakoś musieli zareagować. Przypomniały mi się opowiadania obozowe. Z tego zestawu najgorszy byłem ja, bo nie mogłem spać, i co jakiś

czas chodziłem zapalić albo do kibla. Lokalni to *sleeping dogs lie*, widać było, że nie pierwszy raz wpakowali się w taką podróż i że dechy na pokładzie łódki to ich dzień jak co dzień.

Z kombinacji zmęczenia i syfu, w końcu trochę pospałem między 2 a 4. Gdy ludzie zaczęli wysiadać, zastanawiałem się, gdzie można kupić fajerwerki, żeby uczcić ten moment. Co mnie zdziwiło, moi współużytkownicy prześcieradła wysiedli bardzo wcześnie. Czyli wsiedli na jakieś trzy-cztery godziny, przejechali w środku nocy z jednego wywiejowa na drugi. Po co, dlaczego, za jakie *taka*? Nie wiem, nigdy się nie dowiem, ale spaliśmy przez trochę ramię w ramię. Potem chwilę pospałem na gołych deskach, aż w końcu o poranku dojechaliśmy do Barisal.



Zachciało się Kiplinga, to masz Kiplinga!

Wszystkie znane źródła pisane głosiły, że w Barisal nie ma niczego. Wysiadając z łódki zobaczyłem białego. Przywitałem się, ale od razu zauważyłem, że jest w trybie „zapraszam wypierdalać” i że nie ma ochoty na żadne przyjaźnie motywowane etnicznie. Poszedłem na taksówkę, z pełną świadomością przeplaciłem czterokrotnie (200 *taka*) i dotarłem na dworzec w Barisalu. Szybko ustaliłem, że Khulna, siadłem i zacząłem zasypiać.

- *You Muslim?*

Kurwa mać...

- *Nie.*

- *To ja nie wiem, czy mogę koło ciebie siedzieć* – w całkiem sprawnym angielskim oznajmił dość wiekowy pan, który ledwo co usiadł koło mnie.

- *Ja koło pana mogę, niezależnie od pana opcji światopoglądowej* – plus minus odpowiedziałem, i przysnąłem.

Wkurwił mnie, ale co dobrego da światu wkurwienie się na dyskryminację religijną w środku Bangladeszu? Oczywiście, prawdziwego spania nie było, mimo tego, że w busie wiały wiatraki, to było pod czterdzieści stopni. Musiano mnie też obudzić na jakiś kuriozalny pobór pieniędzy za bilety. Otwarte okna sprawiały, że pył i kurz wpadały do pojazdu w nadmiarze. Temperatura? Po nocy na łódce siedzenie przy wiatraku wydawało się całkiem w porządku, ale byłem tak brudny, że z powodu mniej brudnych i śmierdzących ludzi wypowiedano wojny. Kierowca jechał dość sprawnie, więc w jakieś dwie godziny dotarliśmy do Khulny.

Dworzec, taksiarze zemdleli, że biały wysiadł z lokalnego busa. Milion ofert, milion złamanych serc. Dwa kilometry z buta? Co to dla mnie! Beton, słońce, smog. Khulna powitała mnie jak Dhaka żegnała, chociaż w Khulnie nie mieli tego katastrofalnie cuchnącego błota z fekaliami i całym syfem wszechświata.



Ludzkość zna burdele mniej kolorowe od tego autobusu.

Jak byłem permanentnie głodny od kilku dni, tak dalej byłem. Wszedłem do lokalu, na migi wybrałem pizzę z najmniejszą ilością mięsa. Podali. Kurczak z kośćmi. Obstawiam, że mało który mięsożerca zjadłby to z przyjemnością. Powtórzę: w kurczaku na pizzy były kości. Jadłem więc ciasto z drobinkami sera i cebuli zalane bieda ketchupem, z kurczakiem z kośćmi. Wielu rzygało z bardziej błahych powodów.

Po dramacie gastronomii, udało mi się znaleźć mój hotel. *Jalico*, najpopularniejszy hotel w mieście. Trochę kombinowałem z Couchsurfing, ale nie do końca wyszło. Nie byłem też tak zdesperowany, żeby wciskać się do jakichś rolników z pięcioma słowami angielskiego i pięć kilometrów od miasta. Z radością powitałem prysznic, a jak zobaczyłem, że dali papier toaletowy, to zacząłem śpiewać psalmy pochwalne.

Sama Khulna po szybkim spacerze zrobiła na mnie wrażenie depresji. Kilka ulic, które nigdy nie dają centrum. Śmieci, tony śmieci, a czasem – utęsknionego! - gnijącego gnoju. Jednak nie był to poziom Dhaki, dość łatwo dało się uciec od tego unikatowego dla Bangladeszu zapachu gnijących śmieci i fekalii.

Zaliczyłem też wizytę w monopolowym. Sklep wyglądał tak, że przy kredensiku siedział pan. Na mój widok dobył zakurzone flaszki i powiedział, że 10 USD za małą, a 20 USD za dużą (0,7 albo 0,75). Ja powiedziałem, że dziękuję. Alkohol trzymany w plastiku od zapewne kilku lat. Zresztą najbardziej brakowało mi piwa, nie fatalnie wyglądającej wody czy ginu.



Test wzroku: gdzie jest banglijski, śmieciowy kitku?

W Khulnie jest muzeum represji. W sierpniu 2019 było zamknięte, podobno robią na nowo. Albo i nie, życie pokaże. Nie miałem wiele do roboty, więc czekałem na godzinę 16 w pokoju. Gdy wybiła, zszedłem do recepcji. Miałem się tam spotkać z moim człowiekiem z Khulny. Prawie trzy godziny.

Tyle czekałem.

W tym czasie przeczytałem wszystkie gazety świata, pograłem w każdą z gier jakie miałem, posłuchałem muzyki, wypilem dwie herbaty z lokalnymi handlarzami części komputerowych, opowiedziałem historię swojego życia hotelarzowi. Sam panicz z CS nie przyszedł, przysłał kolegę, który chwilę mnie zabawiał, dopiero potem udało nam się spotkać. Kolega oddalił się. Zapytany, co chcę robić, odpowiedziałem, że jeść. Żreć, ciamkać, chrumkać, bekać, kurwa, z głodu umieram!!!

Byliśmy w centrum miasta, ale pojechaliśmy w krzaki. W odróżnieniu od Dhaki, w Khulnie nie ma wielkich korków, jeździ się szybko, a riksze kosztują bardzo mało, często płaciliśmy coś koło 20 *taka*. Najpierw zabrał mnie do cysterny z herbatą, żeby wypić herbatę ze zsiadłym mlekiem. Potem do jakiegoś food courtu, gdzie było dość drogo (tzn. 200-250 *taka* za posiłek), ale mieli menu po angielsku i było ślicznie czysto. Potem Sid – bo tak zwał się mój człowiek w Khulnie – wyraził rozczarowanie tym, że nie mam lokalnego numeru telefonu i postanowił mi pomóc. Cztery miejsca sprzedaży później, powiedział, że zajmiemy się tym

kiedy indziej. Tak dobrze poszło kupno karty SIM. W czasie tych wygłupów przyszła noc czarna, a Sid zapytał, czy jestem zmęczony. Ja postanowiłem zażartować, że nie i pojechaliśmy na bilard do speluny pod miasto. Speluna w realiach Bangladeszu wygląda tak, że lokal jest na samym końcu miasta, a nawet poza nim. Nie jest w żaden sposób oznakowany. Buty zostawia się przy wejściu. W środku czekają na człowieka...

Dziwki, koks i wódka?

Nie.

Wytarte stoły do bilarda, saturator z wodą, dużo chłopa i temperatura z okolic Czukotki w listopadzie, czyli klimatyzacja ustawiona na 15. Pali się w smutnej kuli zamykanej na przesuwane drzwi. Sam bilard cieszył się dość dużą popularnością, w ten wieczór w środku tygodnia było kilkadziesiąt osób. Nie wiem, co mój człowiek zrobił, ale chyba zakazał im trucia mi dupy, więc mogłem się po tym przechadzać i witać dość swobodnie. Oczywiście, parę pytań zebrałem, ale na te najbardziej dyżurne odpowiedział on wszystkim. W efekcie zagrałem nawet dwie partie, pierwszą w drużynie, drugą solowo. Bawiłem się super, trochę dlatego, że najpierw zgodnie z prawdą powiedziałem, że nie umiem w to dobrze grać. Pierwszą partię przerabiałem drużynowo sromotnie, ale w drugiej, solowej, Sid się wyluzował, ja miałem szczęście, on wręcz przeciwnie i emocje były takie, że inni przestali grać i patrzyli na nas. Pewnie wierząc, że biały właśnie ma zamiar wypierdolić taki manewr, że ręce same się złożą do oklasków. Oczywiście wszystko niemal wychodziło mi przypadkiem, a jemu przez pomyłkę nie wychodziło. Bilard świetnie uwidacznia te subtelne różnice, które kierują życiem, milimetr w lewo lub prawo i albo sukces, albo katastrofa. Na milimetry więc przegrałem i tę drugą partię. Przyjąłem to spokojnie, zwłaszcza, gdy widziałem, jaki modyfikator do szacunku na dzielni dało to mojemu gospodarzowi.

Koło jakiejś północy pojechałem do „domu”, definiowanego jako hotel *Jalico*. Jeszcze dobre dwie godziny pisaliśmy sobie z Sidem, że super było się spotkać, że żarcie w namiocie idealne, a bilard naj w świecie. I naprawdę, to nie były brednie. Po raz drugi w ciągu kilku dni spotkałem lokalnego, do którego żywiłem autentyczną sympatię. Jednak Imdy i Sid byli bardzo różni: Sid nie przepadał za Bangladeszem, miał plany A, B i C: A to USA, B Kanada, a C Wielka Brytania. Imdy chciał żyć w Bangladeszu, chociaż świadom był tego, jak bardzo chory to kraj. Sid pytał się z jakiego chuja spadłem, że tam trafiłem. Imdy, że cieszy się, że kogoś ten pierdolnik interesuje na tyle, żeby wpaść. Obaj pochodzili z bogatych rodzin, ba, obaj nawet chodzili do szkoły mego pracodawcy. Jednak każdy z nich miał odmienną refleksję na temat życia. Z jednej strony, przyjemniej było snuć romantyczne wizje z Imdym, z drugiej Sid miał ironiczno-zwyrodniałe poczucie humoru. Rąbałem z oboma na WhatsAppie tak, że zacząłem przeklinać wynalazek zwany wifi. W końcu koło 2 w nocy napisałem obu, że muszę paść. O 6:30 rano czekała mnie wyprawa z kolegą Sida do największej atrakcji kraju. Bagerhat.

Meczet, taka i krokodyl

Poprzedni dzień pozwolił mi zrozumieć jak działa podejście do czasu i przestrzeni mojego kolegi, więc nie do końca w tę 6:30 wierzyłem. Przełożyłem ją na 7:15, bo dopiero od 7 dawali u mnie śniadanie. Zjadłem tosty z dżemem i czekałem.

Do 9.

Przynajmniej pospałem. Zamiast Sida przyszedł jego kolega, którego poznałem dzień wcześniej na bilardzie. Pojechaliśmy do jednej z największych atrakcji kraju, czyli Bagerhat. Posiadanie kogoś, kto zna trochę angielski i jest lokalny, sprawiło, że życie stało przerażająco banalne. Tak jak wcześniejszego wieczoru, za riksze płaciłem po 20-50 taka za nas dwoje. Zacząłem dostawać dwójki i piątki, pierwszy raz podczas pobytu w kraju. Za autobus też zapłaciłem jakieś grosze i całkiem sprawnie dojechaliśmy do – baczność! – Bagerhat - spocznij. Jest to meczet i właściwie największa atrakcja kraju. Sprzedawany jest jako miejsce UNESCO, zawsze podkreślana jest jego wielokopułowość (zazwyczaj mówi się, że ma on sześćdziesiąt kopuł) i to, że został wybudowany w XIV wieku. Bilety, wchodzimy...

Rzeczywiście, jest meczet, ma sześćdziesiąt kopuł, chociaż mój osobisty przewodnik twierdzi, że jest ich tak wiele, że nikt się nigdy nie doliczy (co nieco mówi o poziomie nauczania matematyki w Bangladeszu).



Bagerhat, jaki jest, każdy widzi.

W środku, jak to lubi być w meczetach, nie za wiele, by nie powiedzieć: nic. Świetlisty zegar z datą, parę osób na dywanach. Zrobiliśmy kółko, dość dużo zdjęć i gdy mieliśmy się pakować, przyszła do nas policja. Na widok policji reaguję tak sobie, a w kraju azjatyckim lubię dostać niemal paniki, ale wyjątkowo, ci nie chcieli pieniędzy, tylko porobić sobie wspólnie zdjęcia. Dużo zdjęć. Zajęło to kilkanaście minut. Dzięki koledze coś tam pogadaliśmy, to znaczy

podbiłem im ego mówiąc, że przyjechałem z Europy, żeby zobaczyć Bagerhat, bo i tam dotarła sława o jego pięknie. Ucieszyli się, ja w sumie też, że im sprawiłem radość.



Ma być tanio i ładnie. Pierwsze albo drugie. To niech będzie pierwsze.



Przypominają się wszystkie filmy przyrodnicze z policjantkami.

Bilet wstępu uprawnia odwiedzających do zwiedzenia muzeum. Tu główną atrakcją jest...
WYPCHANY KROKODYL!



Bestia zaiste przerażająca.



Taksydermista płakał jak preparował

Jest to bardzo święty krokodyl. Legendy mówią o mędrцу, który przyjechał na nim do Bagerhat. Taksydermista zapewne skazał się na wieczne potępienie tym, co nieszczęsnemu gadowi zrobił. W skrócie: odwalił kawał beznadziejnej roboty, do tego pomalowano temu oczy

i wrażenia są bardziej z cyklu „trochu śmieszne, trochu straszne” niż jakiejś głębszej refleksji czy zainteresowania historią zwierzęcia.

Cieszy, że świętość krokodyla utrzymała się przez wieki i odnawiano egzystencję świętych zwierząt w pobliskiej sadzawce. Przez wiele lat lokalni kupowali im kury i składali je w ofierze. Wersja mniej uduchowiona mówi o tym, że krokodyle wpuszczane są po to, żeby ludzie nie zamienili basenu świątynnego w taki gnój, w jaki zamieniają każdy akwen w kraju. Niestety, podczas mej wizyty panował deficyt krokodyli, a ludzie się kąpali, to znaczy dokonywali ablucji. Podobno poprzednie gady padły, nowych za bardzo nie ma – taką wersję sprzedał mi mój przewodnik.



Krokodylometr



Snowflake po banglijsku

Według Lonely Planet, poprzednie egzemplarze zwały się Romeo i Julia, narobiły przy tym takiej ilości krokodyli, że powinno ich wystarczyć na cały XXI wiek. Obecność ludzi beztrzęsio pływających zadawała temu kłam. W sierpniu 2019 roku święte stawy koło Bagerhat nie dawały zbyt wielu szans na zobaczenie wiadomych zwierząt.

Nasze zwiedzanie Lichenia Bangladeszu zajęło dobre trzy godziny, połączone było z obiadem (ryż i rośliny dla mnie, ryż i mięso dla niego, połowa z nas jadła rękami, druga zaś sztućcami). Rozważałem kupno islamskich dewocjonaliów, ale nic do mnie nie trafiło. Niemal wszystko krzyczało plastikiem, taniością i fatalną jakością. Nie było niczego na tyle porąbanego, żeby chciało mi się tachać to przez pół świata.

Poza upałem (czyli normalną pogodą o tej porze roku w tej części świata), zapamiętam jak przechodziliśmy między starym Bagerhat a Licheniem i mój przewodnik chciał się odświeżyć przy studni ulicznej. Ja pompowałem dla niego, on dla mnie, oblewaliśmy się tą

wodą od pasa w górę, oczywiście nie zdejmując koszulek. Nie zajęło długo odkrycie, że woda ma dość specyficzny zapach.

Arszeniku.

Niestety, odkażanie wody w Bangladeszu czynione jest za pomocą tego związku chemicznego. Podobno dzięki temu nadaje się nieco bardziej do użycia niż gdyby tego nie robić. Również dzięki temu absolutnie nie wolno jej pić.

Czy wiedzą o tym wieśniacy? Są szanse, że tak, bo dwóch chłopców na widok naszych ablucji podbiegło powiedzieć, żeby tej wody nie pić.

Gdy nacieszyliśmy się okolicą, przyszła pora na wsparcie paru żebraków – według mego człowieka, w tak świętym miejscu trzeba było to robić. Chciałem oponować, ale szybko zrozumiałem o czym mówi: dawał ludziom po 2-5 *taka*. Jak wspominałem, dopiero dzięki niemu odkryłem istnienie takich nominałów - zacząłem dostawać je od rikszarzy i busiarzy. Normalnie każdy by to dla mnie zaokrąglił, i to pewnie do setki. Z nim dostawałem bilety za jakieś naście *taka* i resztę w bilonie.

Był o tyle rozsądny, że mówił „takiej osobie należy dać dwa *taka*”. Ja dawałem, a przy kolejnej „to jest starsza kobieta, ona nie ma z czego żyć, damy jej pięć *taka*”.

Wsparliśmy nastu żebraków i nie zbliżyliśmy się nawet do wydania 50 *taka*. Takie wydarzenia pozwalają człowiekowi zrozumieć, w jak strasznej nędzy żyje ten kraj i że danie komuś dosłownie groszy (ok, dosłownie *taka*) sprawia, że tej osobie się poprawia nastrój.



Trochę lokalnego humoru

Gdy czekaliśmy na autobus powrotny do Khulny, jakiś chłop zaczął mnie pytać o wizytę w Bangladeszu. Początkowo odpowiadałem to samo, co wszystkim, ale dość szybko okazało się, że nie doceniłem przeciwnika. Facet mówił świetnie po angielsku i zadawał mi pytania nieco głębsze niż „Bangladesh beautiful?”. Po jakichś trzech minutach rozmowy zacząłem się czuć dość niesamowicie, bo taka szybka wymiana zdań wskazywała, że islam jest dla niego jak dla mnie katolicyzm i że trochę rozumie odwiedzanie Bangladeszu dla jaja i doświadczenia, niemniej obawia się, czy warto. Mój przewodnik nie był w stanie za nami nadążyć, w końcu przyjechał nasz autobus i odjechaliśmy do Khulny. Facet jechał na jakąś wioskę.

Oczywiście w busie miałem festiwal „hello”, ale dołożyła mi się pewna cegiełka do doświadczeń z kraju: siedząc w krzakach na desce będącej przystankiem, nagle spotykasz kogoś niesamowicie ogarniętego. O ile zdarzały mi się takie cuda w Azji, to jednak nie bardzo często. Na pewno nie spodziewałem się ich w Bangladeszu. Tymczasem po tych kilku pierwszych dniach, Bangladesz wyrastał na stolicę intelektualistów regionu. Piszę to bez ironii, najpierw Imdy w Dhace, potem Sid w Khulnie, potem jego kolega-przewodnik, do tego jakiś losowy facet na przystanku. Turystycznie było średnio, ale pod względem przeżyć kulturalnych, biłem własne rekordy doświadczeń podróżniczych.

Wróciliśmy do Khulny, podziękowałem memu człowiekowi i poszedłem do hotelu. Był tak samo betonowy jak poprzednio. Lokal obok reklamował się jako najlepszy w mieście i za jakieś 300 *taka* zjadłem kolację, z widokiem na panoramę miasta. Brakowało jedynie jakiegoś piwa lub wina. W zamian do pieca dałem sobie próbą wymiany waluty. Wymieniłem, po 84 za dolca – czyli średnio - ale zajęło mi to dobre trzydzieści minut łażenia po uliczkach bardzo tak sobie oświetlonych i byciem przesyłanym od Annasza do Kajfasza.



Ogromne kury dla małych krokodyli

W miejscu, gdzie według Google Maps miał być kantor, siedział chłop przy biurku. Przesłał mnie do innego biurka, z którego chłop zadzwonił. Potem trafiłem do grupy ludzi, która się modliła, jeden z nich wykonał telefon, zapytali mnie, czy poczekam piętnaście minut aż chłop z hajsem przyjedzie. Zgodziłem się, potem jednak postanowiono na niego nie czekać, zrobiono rzutkę i wymieniono mi 200 USD. Przy wysokości nominalów, postanowiłem nie sprawdzać ich pod światło. Wyszedłem spokojnie z jakiejś ciemnej uliczki i poszedłem do hotelu.

Po Dhace drugie co do wielkości miasto kraju wydawało się niemal wioską. Wszystko, co znajdowałem na mapie, byłem w stanie osiągnąć w ciągu kilkunastu minut. Co się dziwić, Khulna ma oficjalnie jakieś 650 tysięcy ludności. Nawet jak to rozhustać do miliona, to i tak dwadzieścia razy mniej niż Dhaka.

Mój człowiek nie zawodził. Pisaliśmy cały czas na WhatsAppie. Sid wyjaśniał, że tego dnia nie mógł iść ze mną, ale następnego mi to wynagrodzi. Nasza wymiana wiadomości zrodziła hasło, które mogłoby spokojnie reklamować oferty biur podróży: prostytutki, krokodyle i lasy namorzynowe.

Krokodyle, prostytutki i lasy namorzynowe

Umówioną godzinę spotkania z moimi gospodarzami traktowałem z pewną pobłażliwością: skoro pierwszego dnia spóźnienie wyniosło jakieś trzy godziny, drugiego podobnie, to co może wydarzyć się trzeciego?

To, że przyszli punktualnie.

Nie miałem zbyt wielu wyrzutów sumienia, gdy poprosiłem ich o poczekanie aż spożyję obrzydliwe śniadanie hotelowe. No dobra, miałem. Ale jak mogłem wpaść na to, że akurat na trzecie spotkanie przyjdą punktualnie???

Wybyliśmy w stronę drugiej największej atrakcji regionu, czyli lasów namorzynowych (krokodyle i prostytutki nie wpisują do Lonely Planet). Podróż z Sidem była o tyle ciekawsza, że robił sobie jaja z rodaków i ilekroć ktoś pytał mnie o kraj pochodzenia, to on robił echo. Na każde *Hello!*, echo. Może w piśmie nie brzmi to przesadnie zabawnie, ale koło 8 rano na dworcu w Khulnie, to była jedna z najlepszych rozrywek świata. W busie jeszcze grubiej, Sid dokładał starań, żebym siedział z najbardziej upierdliwymi ludźmi w okolicy. Ja w pewnym momencie powiedziałem, że to mój władca i że mają z nim gadać, więc odsyłałem jakichś dziwacznych islamistów do niego i on musiał mówić w Bengali, że jestem z Polski. Potem oddawał mi ich na pytanie „wife?”, a ja jemu na odpowiedź. Głupawka na poziomie trzeciej podstawówki, ale co robić, jak piwa nie można sobie normalnie kupić?



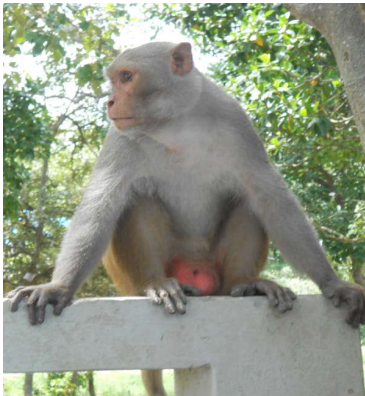
Zwieńczenie wyprawy



Wkrótce te worki zostaną zrecyklowane w 100%.

Po jakichś dwóch godzinach i dwóch kłótniach o bilety (mój Banglijczyk dbał, żeby mnie nikt nie oszukał, choćby na dwa *taka*), dojechaliśmy do Mongla (Mongli). Przeszliśmy na przystań i Sid odkrył, tak jak wcześniej lmdy w Dhace, że posiadanie białego to nie są tylko zabawy w busie i krzyki o bilety, a także to, że jego kolega od łodzi mówi w nieco innym języku. Oczywiście w Bengali, tylko zamiast 1100 *taka* mówi 1950. Po negocjacjach. I to nie takich „haha-hihi”, tylko „okradają nas, chcieliby bogacze oglądać krokodyle i prostytutki za kopiejki!!!!”. Nie znam bengali, więc nie wiem, ale ostatecznie popłynęliśmy z panem i jego dąsami na to, że obcokrajowcy chcą wszystko za darmo, a jeszcze krajowcy im pomagają. Powiedziałem Sidowi, że biorę koszt na siebie, bo kto bogatemu zabroni? Ostatecznie zapłaciłem 1100.

Wyłynęliśmy z portu i wyprawa dość szybko nabrała przyjemnego wymiaru. Najpierw Sid pokazywał mi wioskę kurtyzan i mówił, że jak kiedyś był, to wyglądało to o wiele ciekawiej niż gliniane chaty na brzegu zatoki bengalskiej. Akurat bardziej interesowały mnie krokodyle i zastanawiałem się, czy los mi je podaruje.



Po jakichś czterdziestu minutach dotarliśmy do odnogi i wpłynęliśmy na rzekę. Tu nasza trasa się kończyła – wprawdzie przewodniki głoszą, że warto zdecydować się na trzydniową wyprawę płynięcia statkiem po rzece i szukania tygrysów po lasach Sundarbans, ale po zobaczeniu cen pozwoleń wstępu na teren parku, cen łodkarzy, cen pozwoleń na wpłynięcie łódką... Nie, bądźmy poważni. Sundarbany sprzedawane są jako wielka atrakcja kraju, bo możesz trzy dni płynąć łódką po lasach namorzynowych i szukać tygrysów. Tych raczej nie zobaczysz, ale uda się doświadczyć krzaków Bangladeszu w najlepszej z

możliwych wersji. Spasowałem. Akurat tego wyjazdu nie robiłem na budzie, ale wydanie kilkuset dolarów za bycie wożonym łódką po krzakach do mnie nie przemawiało.

Uznałem, że wersja podstawowa mi wystarczy, więc wysiedliśmy przy wejściu do parku, za bilet wstępu zapłaciłem jakieś dziesięć razy więcej niż oni i weszliśmy.

Powitała nas tabliczka, że tygrysów w całym parku jest 114 – 115 zostało przekreślone i zalepione kartką, że jednak 114. Sid mówił, że chwilę temu samochód przejechał jakiegoś. Nie wiem, czy była to prawda, ale nie zastanawiałem się nad tym przesadnie długo, wiedziałem, że na tygrysa w dziczy szanse mam zerowe.



Powitał nas wybieg jeleni, co mnie średnio kręciło, ale kawałek obok były krokodyle. W cholerę krokodyli. Małe, duże, całe stada. Sid wiedząc, że to właśnie to zwierzę mnie interesuje, nazbierał kamieni i w nie rzucał. Próbowałem mu wyjaśnić, że ma tego nie robić, ale nie udało mi się, więc wkurwiliśmy całe stado tych nieszczęsnych gadów. Pierwszy raz w życiu słyszałem, jak syczą wkurwione krokodyle. Ma to pewien potencjał horrorowy.

Poszliśmy na godzinny spacer po okolicy. Godzinny to on jest jak się robi zdjęcia w każdym miejscu i postój na platformie widokowej. Lokalni chodzili i tak wolniej od nas, chociaż mój człowiek miał dobry aparat i uwieczniał nas, co naście metrów. Sam spacer jest świetnie zrobiony, chodzi się po drewnianych pomostach i ogląda krzaki. Bliżej końca jest wieża widokowa. W sierpniu turystów było bardzo mało, chyba jeszcze nigdy w Azji nie zwiedzałem w takim spokoju. Jest jeden problem: śmieci nie brakuje. Idzie się popłakać, gdy w takiej dziczy widzi się torby po chipsach, butelki po napojach i ogólny syf.

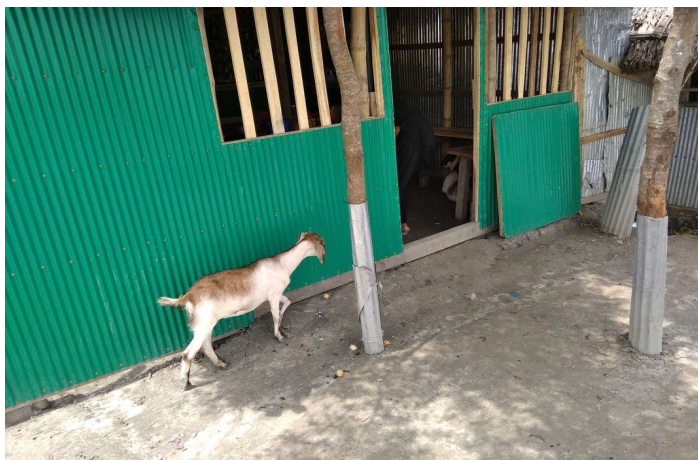




Azjatycki gołąb jednoczy ludzi niezależnie od wyznania.

Poróciliśmy do naszego kierownika transportu i odcumowaliśmy, zapewniając go, że zachwył.

Dopłynęliśmy do wioski kurtyzan. Było to kilkanaście chat w stanie raczej surowym. Dużo blachy falistej, wszędzie klepiska, na zewnątrz błoto, brak wody bieżącej i brak prądu. Oczywiście jest, że wzbudziliśmy furorę. Usługa podobno kosztuje dwa dolary. Jeżeli chodzi o walory wizualne pań, to moim zdaniem, szalu nie było. Wszyscy nas zaczepiali, Sid mnie namawiał, żebym poszedł poszaleć i że "What happens in burdel pod Mongłą, stays in burdel pod Mongłą", ale nie miałem zamiaru. Przysiedliśmy na chwilę u starszej pani, która chyba była dyrektorką tego przybytku.



Koza powiadasz...

Najpierw oferowała mi dziewczynę, podkreślała, że bez AIDS. To chyba dodatkowa płatna opcja. Potem zrobienie lodu. Potem masaż.

Na sam masaż bym się nawet zdecydował, ale nie było nigdzie cennika, a wewnętrzny głos mówił mi, że drogo to

wyjdzie. Do tego istniało ryzyko, że chciałyby, żeby trzecie prowadziło do drugiego, a drugie do pierwszego. Rozczarowana moim brakiem zainteresowania, opowiedziała, że kiedyś to było życie, bo statki pływające na rejsy dookoła świata cumowały u nich, przychodzili turyści i szaleli. Teraz trasy się zmieniły i żniwa są znacznie uboższe. Na pociechę kupiliśmy od niej

herbatę i wodę mineralną. Skasowała nas za to okrutnie, w sumie chyba 200 *taka*, w tym 120 *taka* za wodę. Moi koledzy bardzo długo potem o tym rozmawiali. Niech się cieszą, że nie trafili do jakiegoś Cocomo, bo wtedy by wyszło znacznie więcej. A że wodę dostaliśmy zimną, a energię słoneczną mają z paneli i jest jedna lodówka na całą wioskę, to nie takie dziwne, że drogo, nawet nie tylko dlatego, że był to burdelik.



Z ożywionych rozmów dowiedziałem się, że prostytucja w Bangladeszu jest legalna, a w pewnym sensie nawet wspierana przez kraj. Tysiące ludzi zarabiających grosze nie ma pieniędzy na ślub, czyli postaw się, a potem na utrzymanie żony. Chodzą więc do takich miejsc i za nie bardzo dużo mogą poszaleć. Dzięki temu przestępczość ma być niższa, bo

zamiast gwałcić i narażać się na kontakt z policją, płacą i korzystają z usług profesjonalistek.

W jakim wieku rozpoczynają się kariery? Jaki jest poziom wykształcenia? Ile osób ma HIV, AIDS, inne choroby przenoszone drogą płciową? Czy zdarza się, że któraś z tych kobiet zmienia pracę? Nikt nie był w stanie odpowiedzieć mi na te pytania, ale obawiam się, że wiem bardzo dobrze. Wszyscy znamy odpowiedzi, także ci z niegdysiejszych luksusowych rejsów dookoła świata. Ach, przepłynąć pół świata, żeby iść do burdelu w błocie. Gdybym mógł, to zostałbym tam i spisywał

wspomnienia matki przełożonej tego klasztoru XXI wieku. Jednak po odkryciu mej determinacji do nie współżycia z jej dziewczynkami, obraziła się na mnie.

Z wielką ulgą odpływałem z tej wioski. Widziałem też, że moim przewodnikom solidnie dało po głowie. Dopiero po jakimś czasie Sid zapytał:

- Zadowolony? Wszystko jak obiecałem, krokodyle, lasy namorzynowe i prostytutki.
- O tak, jesteś człowiekiem swego słowa. Gwarantuję ci, że nigdy nie zapomnę tej wycieczki.

Potem było banalnie: Mongla, bus do Khulny, wiele *hello* i *where are you from*. Niecierpliwie czekałem na ciąg dalszy dnia i nocy: chciałem złapać autobus do Cox's Bazar. Moi przewodnicy mówili, że to se ne da. Ja mówiłem, że czytałem, że się da. Po powrocie poszliśmy do biura biletów. Wspólnie mieliśmy rację: nie ma bezpośrednich autobusów do Cox's Bazar. Są za to do Chittagong, a tam bez problemu można się przesiąść na Cox's Bazar. Kupiłem bilet, pożegnaliśmy się.

Zebrałem rzeczy z hotelu, a nawet z pralni. Znalazłem własnymi siłami taki przybytek, i nie było to łatwe. Opis firmy w bengali. Obsługa po bengali. Dwa dni wcześniej zostawiłem im ciuchy. Nie wpadłem na to, że drugi raz będzie ich o wiele trudniej zlokalizować. Gdy to się udało, odebrałem swój dobytek i wróciłem na dworzec.

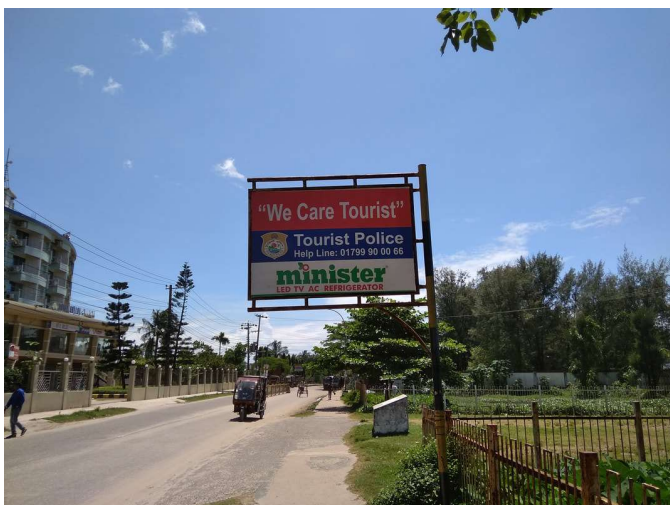
Za każdym razem było tam tylko gorzej. Więcej autobusów, więcej smogu, więcej ludzi, więcej hałasu. Oczywiście żadnego oznakowania, żadnych tablic, tylko napisy w bengali, stada agentów biletowych, którzy próbują pomóc, czyli zaciągnąć do swojej firmy. Przyznać jednak muszę, że gdy okazałem bilet, zaprowadzono mnie na odpowiedni peron (na drodze gruntowej, bo większość dworca jest tak właśnie zaaranżowana) i po chwili pojawił się mój autobus. Oddałem rzeczy, poszedłem po picie, chrupki i stwierdziłem, że właśnie zapisałem się na kilkunastogodzinną przejażdżkę autobusem będąc bardzo głodnym. Znowu, głód w Bangladeszu.



Stranger Than Paradise

Kończąc przygodę z Khulną stanąłem przed dylematem: co dalej? Zwiedzanie szło mi nieco szybciej niż planowałem, trochę dlatego, że nie było czego zwiedzać, a trochę dlatego, że krajowcy mi dużo pomagali. Po tej stronie Bangladeszu miałem Rajshahi, które słynie z wiekowych meczetów. Czytanie o tym nieco mnie przerażało, wszystkie ruiny rozrzucone są po dość dużym terenie. Przegląd zdjęć pozwalał wyrobić sobie zdanie, że Angkor Wat to nie jest. Skoro Bagerhat to najlepszy meczet kraju, to trochę bałem się tego, jak wyglądają te gorsze. Dochodziły też problemy logistyczne, bo Bangladesz ma pomysł na transport znany z czasów Związku Radzieckiego, czyli system koła rowerowego z Moskwą/Dhaką w centrum i szprychami rozchodzącymi się do miast. W efekcie prawie zawsze musisz jechać przez Dhakę, chociaż nie ma to wielkiego sensu logistycznego, jednak jest to jedyna opcja. Próbowałem obadać loty, ale Khulna nie ma lotniska, najbliższe oddalone jest o jakieś 50 kilometrów. Na rynku lokalnym low costów nie ma, loty kosztują 200-400 PLN. Podobnie jak przy transporcie szosowym, leci się najpierw do Dhaki, a potem przesiada. Nie wychodzi to jakoś cudownie czasowo. Kombinacja raczej średnich atrakcji i wyzwania logistyczne sprawiły, że Rajshahi odpadło.

Moim drugim typem był Sylhet, region słynący z plantacji herbaty. Niestety, nie udało mi się znaleźć na Couchsurfing nikogo, kto by mnie przyjął, a gdy czytałem o tym, ile wysiłku wymaga zorganizowanie wyprawy na plantację, poddałem się. Do tego Imdy ostrzegał mnie, że ilekroć bywał w Sylhetcie, to potem miał kłopoty, żeby się wydostać, bo z jakiegoś powodu jeździ tam mało autobusów. Akurat sierpień to dość dobry czas na zwiedzanie plantacji herbaty, bo wszystko kwitnie, do tego Sylhet jest trochę chłodniejszy od reszty kraju, więc długo się zastanawiałem. Widząc jednak, jak działa transport i ile czasu wszystko zajmuje, poddałem się.



Długa droga do tego, żeby zadbała o nas policja.

Ostatecznie wygrała droga w stronę relaksu, czyli Cox's Bazar, największego kurortu kraju. Lotniczo: patrz wyżej. Łódkami: kombinacja kilkunastu połączeń i zabawa na jakieś dwa dni, bo oczywiście nic nie jest ze sobą zintegrowane. Szosowo: nie ma bezpośrednich połączeń, ale wspólnymi siłami znaleźliśmy pana w agencji, który za 1100 taka wypisał mi bilet na autobus do Chittagong. Tam miałem sobie złapać połączenie do Cox's Bazar. Cała trasa ma 533 kilometry i Google Maps wylicza ją na 14 godzin i 26 minut, czyli średnia prędkość to jakieś 40 km/h. Lepiej niż Nepal, ale troszkę gorzej niż Niemcy.

Autobus, którym obdarzył mnie los, był całkiem wygodny i czysty. Na początku było pusto, ale w ciągu dwóch godzin pan nabierał ludzi pod sam sufit. W pewnym momencie na pokładzie było trzech bileterów, co powodowało chaos totalny, bo zaczęli zmieniać ludziom numery siedzeń, w efekcie co chwilę chcieli, żeby ktoś się przesiadł, więc taki szczęśliwiec siedł,

żeby odkryć, że ktoś już tam siedzi, więc zaczynało się avanti. Jeden bileter mówił jedno, drugi drugie...

Jechaliśmy całkiem szybko, więc miałem nadzieję, że może następnego poranka będzie mi dane wyłożyć się na plaży. O jak bardzo się myliłem!

Miałem nawet trochę szczęścia, bo tylko parę osób pytało mnie o religię i kraj pochodzenia. Mniej szczęścia ze starszym panem, który siedział przede mną i spuszczał mi na chłama fotel na nogi. Próbowałem mu wyjaśnić, że nie może się całkiem rozłożyć, bo ja wtedy mam taki ścisk nóg, że idzie oszaleć, ale on pozostawał niewzruszony. W końcu ja się też tak rozłożyłem na kolana dziewczyny za mną, jej chłopak zaczął mi robić avanti w niezłym angielskim, więc powiedziałem, że jak przekona pana przede mną, żeby ten się złożył, to ja się też złożę. Coś mu powiedział, pan podciągnął, ja też i w ten sposób nie odniosłem trwałych uszkodzeń na ciele.

Koło godziny 22 dojechaliśmy do przeprawy promowej. Kolejka była ogromna, lekko licząc ze 30 autobusów, a może i więcej. Byłem nadal głodny, ale jak zobaczyłem jedzenie, to stwierdziłem, że na chipsach i wafelkach też da się żyć. Wszystko wyglądało kiepsko, jadło się rękami, a dodatki były mięsne. Uznałem, że lepiej się przegłodzić niż womitować po jedzeniu przygotowanym w średnio sterylnych warunkach.

- *Our politics is misconduct* – powiedział mi pan, który zainteresował się moją osobą.

- *Polska też, chociaż trochę innego rodzaju* – odparłem. Nie zrozumiał, o co mi chodzi. Dla wielu Banglijczyków każdy inny kraj na świecie jest lepszy od ichniego, no może poza Nigerią czy Koreą Północną. Europa to dla nich cudowna kraina, w której wszyscy są młodzi, piękni i – oczywiście! – bogaci.

Inny pytał mnie ile mam żon. Powiedział, że jedna to słabo, że on ma cztery. Niestety, wszystkie są bezpłodne i żadna nie dała mu póki co potomka, ale stara się jak może. Zastanawiałem się, czy nie sprzedać mu informacji, kto jest w tych relacjach bezpłodny, ale pewnie by się obraził i uznał mnie za chamskiego głupka.

Urzekła mnie kwestia wypowiedziana przez jakiegoś pracownika dworca, który chciał – niespodzianka! – datku ode mnie: "For you little money no problem". Śliczne, po prostu śliczne!

Po jakichś dwóch godzinach łożenia w kółko po błocie i przesunięciu się mego autobusu może o kilkanaście metrów, miałem serdecznie dosyć. Byliśmy gdzieś w połowie drogi do Dhaki. Miałem nadzieję, że unikniemy stolicy, bo to oznaczało przynajmniej godzinę w plecy, a do tego 120 kilometrów dalej, ale niestety, autobus nie odpuszczał stolicy. Plusem faktu, że pojazd stał w miejscu, było to, że od biedy dało się trochę pospać. Koło czwartej przyszła nasza kolej na prom, a koło 7 rano byliśmy w Dhace. Trochę osób wysiadło, jakimś cudem nie wpakowaliśmy się w korki i ruszyli do Chittagong. Podczas jakiegoś postoju w restauracji hotelowej zmusiłem się do zjedzenia hamburgera. Był lepszy od pizzy z kurczakiem. Będąc zmęczonym do i poza ludzkie granice, zacząłem testować lokalną ofertę energetyków. Są tanie, są wszędzie i jest ich dużo. Udują Red Bulla, ale smakują bardziej jak Tiger czy Black. Zdrowe na pewno nie są, ale w jakiejś czternastej godzinie jazdy mało mnie to interesowało.

Droga z Dhaki do Chittagong ma opinię najgorszej w kraju, jest tam też najwięcej wypadków. Lonely Planet sugeruje samolot, a w razie zdecydowania się na autobus, konieczne połączenie dzienne, bo wtedy jest trochę lepiej niż w nocy. Wiele ciężarówek ma zepsute światła, oczywiście jeżdżą jak porąbani, z prędkościami właściwymi Le Mans. Autobus ma dość solidną siłę przebicia, ale ciężarówka też, więc starałem się zatopić w lekturze i nie

myśleć za wiele o tym, jak ciekawe manewry wykonuje mój kierowca. Trasa wiedzie przez tętniące życiem miasteczka i wioski. Koło 12 wjechaliśmy w rowerzystę, który wyjechał z podporządkowanej. Miał szczęście, bo autobus zahamował i wjechał w niego z prędkością może 20 kilometrów na godzinę, a że zaczął skręcać, to tylko mu wygięło koło. Pan kierowca i jego pomocnik dość długo krzyczeli i raczej nie były to okrzyki radości. Zatrzymała nas też policja, bo lecieliśmy dobre 80 km/h w miejscu, gdzie było 50 km/h. Przeciętny kierowca z Bangladeszu straciłby prawo jazdy w Europie przed przejechaniem dziesięciu kilometrów. Właściwie trudno stwierdzić, czy są jakiekolwiek przepisy, wszyscy pchają się na choma i wygrywa najsilniejszy. Pan kierowca przez pomocnika podał jakieś *taka* i po kilkunastu sekundach pojechaliśmy dalej. Opowieści o korupcji kraju nie były przesadzone. Niestety, te o prędkości podróży też nie, tempo jazdy było rwane, dwie minuty z 80km/h, cztery 20km/h.

Gdy koło 14 wysiadłem w Chittagong, poważnie myślałem o przespaniu się jednej nocy w tym mieście. Wiedziałem, że do Cox's Bazar mam jakieś cztery godziny jazdy – w końcu to niecałe 150 kilometrów. Gdybym widział jakiś hotel, to bym sobie usiadł, ale wysadzono nas przy ulicy, nie na dworcu. Po kilku minutach udało mi się ustalić, że autobusy do Cox's Bazar jeżdżą nie stąd, tylko muszę jechać rikszą. Targi, pomoc lokalnych i pojechałem do agencji biletowej. Szczęśliwie autobus miał być za 45 minut, a agencja miała własną poczekalnię, z toaletą, ale bez wifi. Poszedłem drzwi obok i poprosiłem o hasło do wifi, trochę nie wierząc, że coś uzyskam. Nawet mi je napisali na kartce. Internet był mi potrzebny, żeby napisać kolejnemu człowiekowi z CS, że przybywam i że będę jakoś po 19 - *inshallah*.



Losowi krajowcy na plaży

To były długie cztery godziny. Byłem brudny, zmęczony i głodny. Przyjechaliśmy po zmroku, znowu wysadzono mnie przy drodze. Jakimś cudem pobliski hotel miał otwarte wifi (akurat pod tym względem Bangladesz jest całkiem w porządku i praktycznie każda restauracja średniej klasy ma sieć) i po kilkunastu minutach przyjechał po mnie Faisal. Jeszcze tylko przejazd na motorze – głupio będzie zginąć na motorze w urodziny matki, pomyślałem sobie, gdy łamaliśmy kolejne przepisy ruchu i lecieli szybko do jego domu. Pocałowałem tam prysznic, czystą toaletę i uprosiłem o pójście do restauracji. Powiedział mi, że jada dopiero koło 22, więc czy możemy poczekać. Jasne.

Faisal był w mej kategorii wiekowej, mówił idealnie po angielsku i wiedział „wszystko” o Bangladeszu, a zwłaszcza o swoim regionie. Był aktywny politycznie, był też deweloperem, miał liczne przygody z sądami. Za kilka dni miał mieć rozprawę: na jego ziemię wprowadzili się ludzie i nie chcieli odejść, więc musiał mieć nakaz eksmisji. Sprawa trwała od kilku lat. Nie denerwował się przesadnie, był bardzo świadom tego jak działa jego kraj. Kartę sim załatwił mi w 30 sekund. Nielegalnie, ale w końcu miałem, za 200 *taka* dostałem nawet 10 giga internetu. Faisala znali wszyscy i witali jak półboga. W lokalu nie chcieli od niego pieniędzy, więc ja ubłagałem właściciela, żeby wziął *taka* ode mnie. Restauracja była świetna, za dwie osoby zapłaciliśmy grosze, chyba jakieś 90 *taka*. Byłem w szoku i pytałem go, czy to

prawdziwe ceny. Tak, najbardziej lokalne miejsca oferują jedzenie po tyle. Chodziłem tam potem jeszcze kilka razy i zawsze płaciłem grosze, w stylu 40-50 *taka*. Oczywiście pamiętali mnie i dawali wegetariańskie jedzenie, więc dopóki mogłem, jadłem ryż z warzywami, chociaż po trzech dniach miałem dosyć i zdradziłem mego dobrodzieja. Pogadaliśmy do jakiejś północy. Zasypiałem będąc najszcześliwszą osobą w Bangladeszu – w końcu mogłem się położyć, byłem czysty, nie byłem w autobusie i byłem najedzony.

Następny dzień powitał mnie deszczem, co w miejscowości plażowej jest bardzo złą wiadomością. Dopiero po 13 mogłem wyjść i pójść nad morze. Po drodze zatrzymał mnie pan w stroju sugerującym święty obłęd. Szedłem akurat przez mostek i gdy powiedział 10 *taka*, to myślałem, że to opłata za przejście przez jego teren. Postanowiłem oszczędzić sobie avanti i dałem mu tę kwotę. Facet rzucił mi się w objęcia, dziękował, przytulał ze dwie minuty i powtarzał podziękowania. Obłęd. Dobrze, że nie dałem 20.

Plaża to duma kraju, miejsce, do którego kto tylko może wali na wakacje. Ma ponad 150 kilometrów, co czyni ją najdłuższą nieprzerwaną plażą na świecie – powie nam o tym niemal każdy obywatel. Przeszedłem sobie ze dwa kilometry. Było dość pusto, chociaż też znowu nie samotnie. Kobiety siedzą w długich ciuchach, mężczyźni w krótszych, a niektórzy pozwalają sobie nawet na zdjęcie koszulek. Dominowali lokalni. Pływanie jest mało popularne, siedzenie i rozmawianie bardziej. Miałem nadzieję na jakichś obcokrajowców, żeby zostawić z nimi rzeczy i pójść popływać, ale oczywiście, nawet w najbardziej turystycznej miejscowości kraju nie było nikogo poza lokalnymi. W końcu odważyłem się zostawić plecak z paniami i wejść do wody. Było idealnie, jakimś cudem w morzu nie ma śmieci, na plaży też jest dość dobrze. Krajowcy są nieco mniej absorbujący niż w większych miastach.



Tak, wszystko to dla siebie!

Następne kilka dni wyglądało mniej więcej tak samo: wstawałem rano, przez jedną z restauracji szedłem na plażę i do zmroku się relaksowałem czytając, pływając, a co jakiś czas

rozmawiając na najbardziej absurdalne tematy. Po trzech nocach podziękowałem Faisalowi za gościnę, bo musiał jechać do Dhaki. Przeniósłem się do hotelu Asia i dość szybko zatęskniłem za poprzednim miejscem pobytu. Zamiast 10 minut do plaży miałem jakieś 40, do tego po umiarkowanie szalowej okolicy. Cox's Bazar jest – niespodzianka! – zatłoczony, brudny, chaotyczny. Śmieci, mocz, smog, hałas. Mój pokój hotelowy wyglądał ładnie, ale pościel cuchnęła uryną. Obsługa traktowała klienta jak intruza, a na uwagę, że sieć wifi dla pierwszego piętra nie działa, odpowiedziała mi, że co z tego. Rozrywek wieczornych w Cox's Bazar też uświadczyc mi się nie udało, są stragany z rzeczami fatalnej jakości, na pewno są urocze burdele i jakieś bardzo drogie hotele z barami, ale poza tym, po zmroku siadałem w pokoju i cieszyłem się, że wynaleziono laptopy, cyfryzację filmów, muzyki i książek.



Ryba psuje się od głowy, Bangladesz psuje się od ryb.

Najciekawsze były wieczory z moim pierwszym gospodarzem, który pytał mnie o różne miejsca w Europie. Szykował się na wyprawę kiedyś tam, ale mówił, że jak już wyrobi wizę, to chce mieć czas, a obecnie go nie ma, bo – tu następowała długa lista biznesów, którymi się zajmował. Wyglądało na to, że dobrze mu idzie, jedynie nie mógł oddalić się z kraju, bo nie miał komu tego zostawić do doglądania

Poznałem jego kolegę-dziennikarza, który zajmował się problematyką Rohingów. Myślałem, że to będzie jakiś wrażliwy kulturoznawca, ale okazało się, że jest całkiem przeciwnie.

Uważał, że dawana im pomoc jest przesadzona, że nikt inny niczego nie dostaje, a są bardziej potrzebujący. Oczywiście Rohingowie nie pracują, choćby dlatego, że legalnie nie mogą. Ich poziomy wykształcenia są żadne lub niskie. Sprawa miała być chwilowa, tymczasem siedzą oni kolejny rok, przybywa ich, nastroje są fatalne, a wyjścia z sytuacji nie ma. Do tego zajmują się przemytem, co jakiś czas dochodzi do morderstw. Pół biedy, jak między nimi, ale bywa, że napadają na ludzi. Tendencja patologii jest wzrostowa. Prawa dziecka i kobiet to absolutny dowcip, gwałty, pedofilia, dantejskie piekło w wydaniu przynajmniej siódmego kręgu. Z perspektywy Bangladeszu, obraz Rohingów jest fatalny i chowanie głowy w piasek przez cały świat nie poprawia sytuacji.

Przyznam, że wywalenie mi tego na blat w jakieś 40 sekund, sprawiło, że trochę zwiędłem. Facet nie brzmiał na nacjonalistycznego wariata, tylko na diagnostyka sytuacji. Nie zrobił mi jakiegoś wielkiego „teraz ci powiem prawdę”, tylko tak sobie powiedział przy papierosie o czym pisze do poniedziałkowego wydania swojej gazety (rozmawialiśmy w sobotni wieczór). Będąc wrażliwym kulturoznawcą mogłem go tylko wprawić w śmiech. Przecież nie mówię w Bengali ani języku Rohingów. Moja suma doświadczeń z uchodźcami wynosi zero, jego pewnie kilkaset godzin. Zapytałem o możliwość odwiedzenia obozów, ale szybko mnie zgaszono: zachodnie media piszą o tym, że tam jest źle. Ergo, zachodni ludzie nie są wpuszczani, bo Bangladesz ma dosyć dowiadywania się o tym, że za mało dba o uchodźców. O swoich nie dbają, to co? Mają sobie wypruwać żyły na rzecz Rohingów, których im życie zesłało, bo w Birmie jest chlew?

Gdzieś myślałem sobie o odwiedzeniu parku Teknaf, który jest na granicy obu krajów. Nie mają tygrysów ani krokodyli, pewnie mają dziwki, a do kilku lat temu słynęli z możliwości obserwowania ptactwa. Dziennikarz powiedział mi, że mogę sobie zapomnieć. Park jest zamknięty, bo obecnie są w nim obozy Rohingów i nie ma opcji, że pozwolą zachodniemu pacanowi wpaść, żeby rzucić okiem na tę nędzę, a potem pisać, że Bangladesz chuje i źle traktują uchodźców.

Jeszcze mu nie do końca ufałem, ale potem poszliśmy na plażę i kupili betel. Żułem betel w kilku krajach, ale w Bangladeszu jest absolutnie najgorszy. Pestkę podają zawiniętą w liście i posypaną przyprawami, głównie solą i czymś, co pachnie jak Indie. Dziennikarz jadł ze smakiem, Faisal, że ok, a ja się prawie porzygałem. Spacerowaliśmy po plaży, oni się delectowali, a mną rzucały torsje. Bałem się, że jak się zwymiotuję, to się na mnie obrażą, więc żułem betel, plułem jak najwięcej się dało i gdy po jakichś dwudziestu minutach skończyliśmy, byłem najszcześliwszym człowiekiem świata. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej ceniłem sobie rozmowy z panem dziennikarzem.

Cox's Bazar może chwalić się dwoma ekranami na plaży. Kosztowały fortunę, postawiła je jakaś firma, żeby się reklamować. Potem przyszedł sztorm i je splukał do morza. Wyszło dość drogo, ale sponsor się nie zraził. Postawili kolejne ekrany i pokazywali na nich mecze w krykieta. Spotkało się to z wielkim zainteresowaniem lokalnych, ludzie przyszli w tysiącach. Niestety, Bangladesz - tak jak nasze Orły Futbolu w futbolu - zazwyczaj nie wygrywa w krykieta, więc doszło do pewnej kombinacji frustracji i rozczarowania, które to wyraziło się w rzucaniu kamieniami i butelkami w ekrany. W efekcie, rozwalono je w drzazgi. Na sierpień 2019 zrezygnowano z pokazywania wydarzeń sportowych na rzecz widoczków, które mają wpływać kojąco na stan nerwów mieszkańców raju na ziemi. Coś mi mówi, że nieszczęsny sponsor nie zdecyduje się szybko na powrót wydarzeń sportowych do plażowego repertuaru.



Ekran-męczennik

Widząc, że mam do czynienia z człowiekiem tolerancyjnym i zdrowym na umyśle, pozwoliłem sobie popytać o religię.

- *To prawda, że żona musi się zgodzić, gdy mąż chce wziąć kolejną?*
- *Tak. Albo i nie.*
- *Te rodziny z kilkoma żonami bywają szczęśliwe?*
- *Nie. Zazwyczaj facet bierze dużo młodszą, a starsza odchodzi na drugi plan. Jeżeli go stać, to potem powtarza ten model.*

Do Faisala należało kilka nieruchomości, zatrudniał też wiele osób. Przyszli do niego pewnego poranka pracownicy z informacją, że w nocy ukradziono kabel internetowy. Odcięto, co było na zewnątrz i zabrano. Westchnął i poszedł oglądać nagrania z kamer przemysłowych. Pytam go:

- *Kabel do netu pocięty? To raczej się złodziejowi nie przyda.*
- *Nie, tu często telekomy tak walczą o klientów, że wysyłają pracowników, żeby nocami odcinali konkurencyjne firmy. Liczą, że postanowisz po tym przejść do nich.*
- *Dobra, ja wiem jaka jest u was policja, ale jak pójdziesz z nagraniem video, gdzie widać kto to kradł, to niczego nie zrobią?*
- *Niczego. Oni wychodzą z założenia, że skoro im płacą pensję niezależnie od wykonanej pracy, to byłoby głupotą robić cokolwiek. Więc albo musisz zapłacić, albo się nie ruszą. Jasne, jak są morderstwa, to muszą coś robić, ale takie kradzieże, to w życiu.*

Po kilku dniach z Faisalem, relokacja do hotelu Asia, była straszna bardziej z powodu tego, że nie miałem z kim pogadać, a nie tego, że waliło uryną. Znaczący się, walenie uryną było straszne, ale gorsza była obłędna nuda.

Gdy jednego wieczora poszedłem na pizzę, to nie dość, że zapłaciłem 500 *taka*, to się prawie porzygałem. Tak, pizza, z kurczakiem, majonezem i kośćmi. Zażęknąłem za ryżem.

Jedną z największych atrakcji Cox's Bazar są suszone ryby. Sprzedają je w wielu miejscach, oczywiście najwięcej było przy wejściu do mojego hotelu. Oczywiście, że cuchnęło. Miałem ze dwa razy myśli, żeby tego spróbować, ale nie dałem rady. Pamiętam dobrze, gdy w Rosji wpadłem na pomysł degustacji podobnie przyrządzonego płetwala.



Nigdy więcej



Pamiątka lub prezent dla znajomych, wysuszona ryba w celofanie.

Kiedy siedziałem na plaży jednego dnia, podszedł do mnie facet i w totalnie losowym angielskim zaczął pytać o robienie biznesu. Miał telefon i tłumaczył swoje pytania:

- *Ile można w Polsce dostać za delfina?*
- *Dokładnie nie wiem, ale pewnie ze dwa lata odsiadki* – odpowiedziałem. Oczywiście jemu chodziło o sprzedaż mięsa delfina do Polski, pisał mi nawet, że ma kilka odmian.

Inne spotkanie miałem przyjemniejsze, pan powiedział, że pracował kiedyś w Norwegii i był na wycieczce w Polsce. Ucieszył się, że jestem z Krakowa i z nostalgią wspominał wycieczkę do Auschwitz.

- *Auschwitz, Auschwitz, train, you know?* – I zaczął udawać ciuchcię. Środek miasta, a dorosły facet krzyczy „Auschwitz!” i udaje pociąg. Rzeczywistość zawsze przebija fikcję.

„English talking so hard!” – dowiedziałem się od jednego z kilkudziesięciu interlokutorów.

Rozpocząłem dość długą i ciężką przygodę z plażowymi leżakami. Płaciło się chyba 30 *taka* za leżak. Niestety, nie do końca rozumiałem system, więc jak po jakichś dwóch godzinach

przyszedł pan, to powiedziałem, że już płaciłem. Pokłóciliśmy się, nie zapłaciłem. Dopiero potem mój człowiek w Cox's Bazar wyjaśnił, że tak to działa. W następne dni płaciłem już bez szemrania.

Spowodowałem też dramat, bo pan od leżaków bardzo chciał mi pomagać. Nie do końca mu ufałem, więc jak szedłem do morza, to dałem moje rzeczy zakochanej parze. Gdy wróciłem, pary nie było, ale pan plażowy wyjaśnił mi, że udaremnił kradzież mego plecaka, bo tu była taka zakochana para, co go sobie chciała wziąć. Ich wyrzucił z plaży, mój dobytek odzyskał i teraz uważa, że powinienem wypłacić mu nagrodę. Głęboko westchnąłem i zastanawiałem się jak mu przekazać, że jest idiotą i że to ja tym ludziom swoje rzeczy dałem.

Ostatecznie pobliski sklepik został moim wybawieniem, zostawiałem im rzeczy, szedłem do wody, a potem coś kupowałem. Przez to odkryłem całą sekcję napojów lokalnych. Nie wpadłbym na to, że można robić coś w stylu Fanty, ale z kminkiem.



Jest też wersja świeża.



Pani znaczy woda. Zeera pewnie trująca.

Takiego gnoju nie piłem nigdy wcześniej i mam nadzieję nie pić nigdy więcej. Tyle szczęścia, że butelki mają 250 mililitrów, co oczywiście przyczynia się do zaśmiecenia kraju.

Przez te kilka dni plażowania widziałem dwójkę obcokrajowców. Pracowali z Rohingiami, żadni turyści. Niestety, nie udało mi się nic więcej porozmawiać. Bangladesz chyba tak wpływa na ludzi, że przestają się odzywać do innych.

W końcu nadszedł 28 sierpnia. Mój wyrok na Bangladesz powoli się kończył. Musiałem przejechać do Chittagong (po PL: Cottaqram), przeżyć tam niecałe dwa dni, i wylecieć w stronę PL przez Dubaj. Bez szlochów opuściłem Hotel Asia. Zmusiłem pracownika hotelu, żeby mi ogarnął riksę, w ten sposób była tylko dwa razy droższa od zdrowego rozsądku, a nie cztery. Na dworcu na mnie pokrzyczeli, że nie rozumiem systemu biletowania, potem sprzedali mi jakiś bilet za 275 *taka*, i

pojechałem w stronę Chittagong-Cottaqram. Wiadomo, że cztery godziny. Postanowiłem poczytać. Może są ludzie, którzy mają poziomy Zen, które nie powodują irytacji staniem przez jakieś 30 minut w szczerym, bangladeskim polu, ja do nich nie należę. Coś się rozjechało, więc

staliśmy. Paliliśmy pety, lali w pole uprawne, ja się wkurwiałem. Zacząłem mieć dosyć Bangladeszu.

Koło 15 dobiliśmy do Chittagong. Pomyślałem sobie, że za jakieś 48 godzin wyjadę z tego cyrku. Nie przeraziło mnie to, ba, dało mi to jakąś siłę do życia. Wystarczającą do walki o wydostanie się z ulicy. W kilka sekund po opuszczeniu autobusu, miałem na sobie dwójkę natarczywie żebrzących dzieci.



Zielono jak szlag, odcinek kolejny.

Nikt nigdy nie przyjeżdża do Bangladeszu

- *Zostawcie mnie w spokoju. Naprawdę, nie dam wam taka!* – mówiłem bardziej sam do siebie niż do dwójki dzieci, które uwiesiły się na moim plecaku ledwo wysiadłem z autobusu.

Musiałem skontaktować się z moim człowiekiem z Couchsurfing, Alim. Wyjąć telefon, kazać dzieciom odejść, oczywiście nie odchodzą, napisać wiadomość. Nie miałem jego adresu, mówił, że poda jak przyjadę i wtedy mi napisze, jak się tam dostać. Dziwne nieco, więc bałem się, że mnie zleje i będę musiał iść do hotelu. Doświadczenia z hotelem w kurorcie plażowym były takie, że nie miałem odwagi myśleć o tym, jak wyglądają standardy w mieście nieturystycznym. Pozostawało mieć nadzieję, że Ali okaże się słowny. Napisałem do niego, on odpisał, żeby poczekać, więc czekałem. Dzieci w tym czasie poszły kilkanaście metrów do sprzedawcy ulicznego, wdały się z nim w rozmowę i powróciły.

- *Give me taka* – przemówiły po angielsku.

Usłyszawszy to, zrozumiałem, że ich spotkanie z panem służyło nauce języka angielskiego. Niepotrzebnie, termin „taka” nie jest przesadnie trudny do opanowania dla obcokrajowca. Byłem jednak pod wrażeniem. Jest podejście do uczenia zwane *Task-Based Learning* – uczniom daje się rzeczy, które mają zrobić (np. zaplanuj dwa tygodnie objazdu po Tajlandii), z wiarą, że oni sami będą używać potrzebnego języka, a jak nie będą znali, to zapytają. W ten sposób nie męczysz ich tym, że czasownik i dopełnienie, tylko że „mówi się tak”. To był idealny przykład tego podejścia: jeżeli chcesz zebrać od białego, to potrzebny ci jest tryb rozkazujący, zaimek i dopełnienie. Moi młodzi przyjaciele z Chittagong opanowali potrzebne słownictwo w kilka minut, bez uczenia się gramatyki.



Lokalna odpowiedź na estetykę Banksy'ego

Chittagong, zwany po polsku Cottaqram, to drugie co do wielkości miasto kraju. Już wjazd przygotował mnie na powtórkę z Dhaki. Stojąc przy wielopasmówce, słuchając mękolenia dzieci, zacząłem mieć dosyć i przekląłem się, że nie pojechałem do jakiejś nudnej Hiszpanii. W końcu Ali przysłał namiary i że poleca wziąć taksówkę. Tak, nawet do głowy by mi nie przyszło próbować z transportem publicznym, póki co nie ma jeszcze aplikacji *jakdojadę.bd*.

Pod wskazanym adresem zastali mnie jego koledzy. Mieli imprezę w nocy i jeszcze się zbierali. Było po 16, więc zastanawiałem się, czy zalali pałę, czy też nie. Wszyscy palili w ilościach hurtowych, więc siedziałem z nimi, dziękowałem za jedzenie z mięsem i odpowiadałem na trochę pytań. Widziałem, że Ali to w miarę moje klimaty: na ścianach plakat koncertowy Guns'n'Roses, Bob Marley, Beatlesi, a nie wielki meczet w Mekce. Pojawił się po

17, koledzy poszli i rozpoczęliśmy rozmowy. Ali był kiedyś DJem, ale porzucił tę karierę na rzecz pracy w banku. Oczywiście nie dlatego, że w banku gorzej płacili i było więcej zabawy. Okazało się, że jeździł na koncerty po krajach takich. jak Dubaj i Tajlandia.

„Nikt nigdy nie przyjeżdża do Bangladeszu” – padło w trakcie jednej z naszych rozmów.

Dotyczyło to artystów, ale też nie jest daleko od opisanego popularności kraju pośród turystów. Ech, ale jednak szkoda. Wyobrażam sobie te obłądne gigi, Slayer w Chittagong, Billie Eilish w Dhace. Przy ich poziomie organizacji i standardach, artyści by tego nie przeżyli. Współczuję jednak ludziom takim jak Ali, bo dla nich każdy koncert to wielka wyprawa i potężne wydatki. Do tego, jak każdy inny z ludzi, którzy mnie podejmowali, Ali wspominał o upierdliwości i koszcie zdobywania wiz. Naprawdę, mieć paszport Bangladeszu to wyciągnąć bardzo krótką słomkę w temacie obywatelstw.

Gadało nam się tak dobrze, że poszliśmy wspólnie na zakupy, a potem siedzieli, palili tony papierosów i wymieniali się różnymi doświadczeniami. Ali nie był wielkim fanem Islamu, za to miał dość solidne doświadczenia z trunkami i ćpaniem. Po angielsku mówił właściwie idealnie, a co mnie bardzo bawiło, wrzucał do tego tony bluzgów, poziom Yelowolfa. Mówił, że ilekroć gdzieś jedzie z kolegami, to zamienia się to w wielkie pijaństwo. Niegdyś na Sri Lance poszło im tak dobrze, że uznali, że basen hotelowy jest zbyt mało autentyczny i postanowili go ulepszyć. Przynieśli piasek z pobliskiej plaży, więc narobił się dramatyczny, błotny syf wszędzie. W jakiś sposób też kanapa, którą chcieli umieścić nad brzegiem basenu, więc oczywiście wpadła im do niego. Obsługa musiała być zachwycona.

Drugiego dnia wstaliśmy dość późno. Wzięliśmy wspólnie transport i pojechali, on do pracy, ja zwiedzać.

„Nie wiem, co chcesz zwiedzać w Chittagong, to miasto to jeden wielki syf” – rzucił mi na zachętę.

Chciałem zobaczyć, jak tną statki na żyłki. Niestety, Ali powiedział, że odkąd BBC zrobiło film dokumentalny o warunkach pracy, białych nie chcą wpuszczać.

„70%, że cię nie wpuszczają, 30%, że tak. Szkoda czasu, bo w jedną stronę pojedziesz jakieś półtorej godziny i może się okazać, że po nic.”

Miejsce stało się „popularne” (czytaj: czasem jakiś turysta tam pojedzie) odkąd pojawiło się w *The Avengers: The Age of Ultron*. Ali mówił, że najfajniejszy widok jest, gdy wyciągają statek na plażę – rozpędzają go i lecą nim w stronę brzegu jak najszybciej się da. Im dalej wjedzie, tym potem łatwiej pracować. A warunki pracy są wiadome, przy czym zajęcie podobno nie jest źle płatne. Problemem jest ilość wypadków i średnia wieku pracowników: dzieciaki z wiosek przybywają do dużego miasta, chcą się szybko dorobić, a potem dochodzi do tragedii. Chętnych nie brak, rotacja solidna.

Myślałem, czy nie poprawić z plaży, ale Ali powiedział mi, że to nie ma sensu, bo ta w Chittagong jest o wiele gorsza niż w Cox's Bazaar. Znalazłem, że jest muzeum, w którym mają tak niesamowity eksponat jak mikrofon, przez który ogłoszono niepodległość Bangladeszu. Do niego właśnie skierowałem swoje kroki. Niestety, pocałowałem klamkę, co potwierdziło informacje z Lonely Planet, że godziny otwarcia są dość losowe. Nie wiem, ilu

mają turystów rocznie, pewnie kilkunastu, więc co jakiś czas obsługa uznaje, że ma ciekawsze rzeczy do roboty niż praca. Jednak nie nudziłem się, bo pod muzeum rzuciły się na mnie dzieci. Cztery sztuki, chyba jedna rodzina. Darły się i płakały, ale najgorsze było, że dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, wbiła się we mnie pazurami i nie chciała puścić. Szedłem i dosłownie ciągnąłem ją za sobą, mówiąc, że proszę, żeby mnie puszczono. Bałem się, że mnie zadrapie, a co może mieć pod paznokciami dziecko ulicy w Bangladeszu przerasta moją wyobraźnię. Jej młodszy braciszek też się próbował mnie ucześcić, ale jego dość sprawnie zrzuciłem.

Jest jakaś 12, względne centrum miasta. Idzie biały chłop, a na nim wiszą płaczące dzieci. Chłop powtarza, żeby go puścili, ale one nie słuchają. Cała ulica się patrzy, lokalni krzyczą na swoich rodaków.

Dzieci nie puszczają.

Mnie szlag trafia.



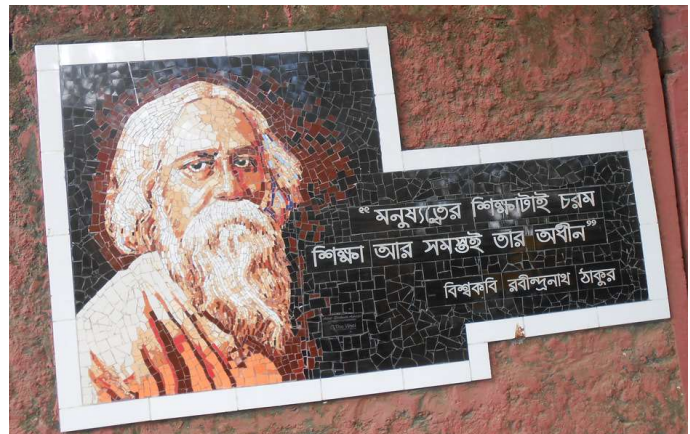
Raczej nie feministka.

był zamknięty. W duszy dziękowałem niebiosom, że następnego dnia wyjadę z tego kraju. Trafiły się jakieś murale lokalnych bohaterów, już np. Rahmana i jego żonę rozpoznawałem bez problemu, jakiegoś poetę o nazwisku Islam też kilka razy widziałem, a pozostałych wyjaśniał mi mój nowy przyjaciel. Wyjaśniał, czyli mówił, że to polityk, pisarz lub ważny człowiek. Kobiet nie było za wiele, ale nawet ze dwie się załapały.

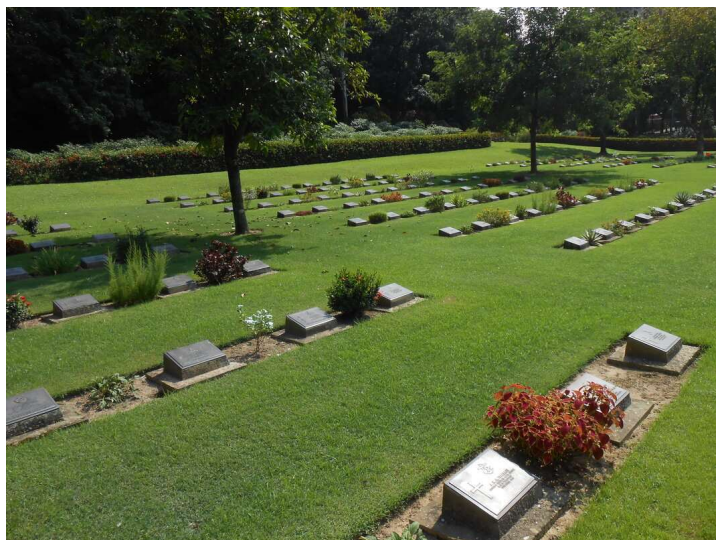
Pochodziliśmy razem z dobre półtorej godziny, zabrał mnie do stołówki dla biednych, to znaczy restauracji w standardzie lokalnym. Było autentycznie, aż tak, że nie odważyłem się niczego zamówić. On jadł rękoma kurczaka z kośćmi i ryżem. Wysysał szpik z kości aż trzeszczało, a za wszystko zapłacił 80 taka. Miejsce było poniżej jakichkolwiek standardów sanitarnych, chociaż mieli umywalkę. Ostatecznie nasz wspólny szlak doprowadził mnie do sklepu, w którym skorzystałem z jego znajomości bengali i kupiłem kilka sosów i przypraw. Próbowaliśmy jeszcze znaleźć koszulki z motywami Bangladeszu, ale nie udało się. Pożegnaliśmy się, a ja poszedłem na cmentarz.

W końcu jakiś starszy facet coś powiedział i zostawiły mnie w spokoju. W tym momencie Chittagong przebiło Dhakę pod względem chujowatości: właściwie jedyna atrakcja (wyjebanie wielki cudzystów na to słowo) nie działa, a upierdliwość ludności lokalnej bije absolutnie wszystkie rekordy i przekracza wszystkie możliwe granice.

Do tego napatoczył się student, który chciał ze mną ćwiczyc angielski. Przez następne czterdzieści minut spacerowaliśmy wspólnie. Powiedziałem, że chcę na pamiątkę jakieś kulinaria. Próbowaliśmy jeszcze po drodze do sklepu zahaczyć niby zabytkowy kościół, ale



Tagore, czyli jedyny względnie rozpoznawalny człowiek z Bangladeszu.



Arlington, wersja Cottogramska.

Cmentarz jest na liście atrakcji miasta, żeby wejść musiałem wpisać się do książki gości. No cóż, jest to cmentarz, gdzie leżą ludzie z zachodu. Wychodzi, że cała II Wojna Światowa to byli ludzie zachodu, których zabijali Japończycy w jakiejś Birmie, Bangladeszu, ewentualnie więzili w Tajlandii. Cmentarz hełmu nie zdejmuję, ale miałem pewien ukryty cel. Na 16 umówiłem się z Adlibem, chłopakiem, którego znalazłem na Couchsurfing. Unikatowy w jego profilu był wpis o tym, że uwielbia Cohena. Fan Cohena w Bangladeszu? Zawsze wiedziałem, że ta muzyka jest międzykulturowa, ale Bangladesz? Chittagong? Kilka dni wcześniej

uznałem, że warto się odezwać. Chłop mi odpisał, że mieszka z rodzicami i że nie może mnie przyjąć, ale chętnie się spotka.

Dlatego więc tego sierpniowego popołudnia siedziałem na trawniku przed cmentarzem, co kilka minut mówiłem lokalnym, że mogę sobie z nimi zrobić zdjęcie, ale ogólnie, to zapraszam ich, żeby wypierdalali. Przypadkiem spotkałem Polaka farbowanego na Niemca. To znaczy on zaczął po angielsku, po chwili doszliśmy do tego, że jest z Niemiec, a po kolejnej, że z Polski, bo był Polakiem w drugim pokoleniu. Nawzajem mówiliśmy sobie, że nigdy w życiu nie wpadlibyśmy na to, że spotka się kogoś z tak średnio popularnego kraju jak Polska w środku Bangladeszu. Po kilku zdaniach pożegnaliśmy się. Chwilę potem przyszedł Adlib.



Gdzie jest krzyż? W Cottagram.

Nie rozczarowałem się. Nie wymiatał dyskografii Cohena do czwartego miejsca po przecinku, ale nie powodowało to przestojów w rozmowie. Właściwie o Cohenie porozmawialiśmy dopiero po dwóch godzinach wymieniania uwag o życiu i Bangladeszu. Powoli kończył się mój czas w raju, więc poprosiłem Adliba o zabranie mnie do miejsca z pamiątkami. Okazało się, że nie ma takiego. Zmieniłem na: cokolwiek, gdzie kupię coś, żeby miało napisane, że Bangladesz. Umówmy się, że w sumie na każdym bazarze w Polsce, ale chodziło mi o flagi, długopisy, hymny narodowe. Cokolwiek, mogło być islamskie, byle wyglądało jak ich. Przez stoiska z dziwnymi, słodkimi napojami dotarliśmy do centrum sztuki niezależnej. Mieli trochę ładniejszych rzeczy, które podobno nie były robione z połamaniem praw człowieka. Spotkałem jakiegoś chłopca, który przejechał rowerem całą Europę, w tym Polskę. Był na tyle miły, że mówił, że bardzo mu się u nas podobało. Na koniec spotkania dotarliśmy do centrum handlowego. Po drodze zabrał mnie jeszcze na uniwersytet, co wykończyło listę ciekawszych miejsc w mieście.

Dużo rozmawialiśmy. Podobnie jak inni przeze mnie poznani, Adlib dokładał starań, żeby wyjechać z raju. A raczej dokładała jego rodzina, bo jemu wydawało się wszystko wisieć w dość buddyjski sposób. Studiował prawo i nie miał złudzeń co do siły dyplomu z Bangladeszu. Było już ciemno, udaliśmy się w drogę na spotkanie w centrum handlowym moim gospodarzem z CS, Alim, z którym przepisaliliśmy, że pijatyka. Tak więc, z Adlibem gadałem, że pamiątki, a z Alim, że pato. Gdy wychodziliśmy na trzecim piętrze wielkiego centrum handlowego, wpadliśmy na siebie. Otworzyły się drzwi windy, zobaczyliśmy Alego, a powietrze przeszły krzyk:

- Kurwa, ty chuju, wiedziałem, że tu będziesz!

Od jakichś dwudziestu lat uważam, że w ten sposób adresuje się tylko lubianych ludzi. Nie przejechałem się na tym w Krakowie, nie przejechałem też w Chittagong. Okazało się, że moi ludzie znają się z jakichś dawnych lat i klubów. Adlib szybko nas pożegnał, wspólnie z Alim kupiliśmy najbardziej bangladeskie pamiątki świata: kubek z napisem „najlepsza matka świata” w Bengali i torebkę od designera, który szyje w – nikt nie uwierzy! – Bangladeszu. Moja misja Bangladesz dobiegała końca.

Prawie.

Zostawało wieczór wcześniej umówione pijaństwo. Po dłuższych przygodach ze zdobywaniem rikszy (patrz powtórka z tego, że jak się jest z białym, to ceny szbiją niczym sroczek ziemny, czyli narodowy ptak Bangladeszu), w końcu dojechaliśmy na jakiś koniec miasta, który podług skali Chittagong był w miarę w środku miasta. Weszliśmy po schodach na piętro. Ciemno, patola dookoła, stada ludzi, niektórzy z piwami, niektórzy nieco pijani, wszyscy dość głośni. Żadnych znaków na zewnątrz. Krata, za kratą alkohol i dużo brudu. Dałem Alemu 1500 *taka*. On coś dorzucił i otrzymaliśmy jakieś dwadzieścia piw 0,33. Wyszliśmy w nastroju święta: UDAŁO SIĘ!!! Mamy piwa!!! Zaznaczę, że sklep miał też wódkę i whisky, ale wyglądały odrażająco. Poza tym następnego dnia miałem być na lotnisku o 8 rano, więc należało swoje karty rozegrać z głową.



Klucz do imprezy

Radości związane z prawem w takim kraju jak Bangladesz są niezliczone. Jeżeli chodzi o alkohol, to muzułmanom nie wolno go kupować, a przejście na ateizm nie wchodzi w rachubę. Jednak istnieje kilka furtek: po pierwsze można znaleźć przyjaciela, który ma papiery, że jest np. chrześcijaninem, im kupować wolno. Podobnie

sprawa ma się z obcokrajowcami. Jest jeszcze jedno obejście prawa: złapowanie lekarza kwotą około 150 PLN powoduje, że wypisuje on kwit, iż taki a taki musi spożywać alkohol ze względów zdrowotnych. Papier ten uprawnia do PICIA W PRACY. Gdy tylko Ali mi o tym powiedział, zacząłem się zastanawiać, czy by mi to uznali w Warszawie. Oczywiście wyobraźni widzę rodziców mych uczniów, którzy ze zrozumieniem kiwają głową, gdy wchodzę na bani i wyjaśniam, że pan doktor kazał mi pić celem podreperowania zdrowia. Taki kwit to niejedyny dokument, który można kupić. Da się też nabyć prawo jazdy. Podobno nawet wszyscy je kupują i gdyby ktoś chciał po ludzku robić kurs na prawo jazdy, to miałby kłopot (słyszałem to samo w Azerbejdżanie, ale tam jak się uprzesz, to pozwolą ci zrobić, tylko będą myśleli, że jesteś bardzo głupi). Ali mówił, że szkoda, że nie mówiłem, że Aligatorowi mogłoby się przydać, bo podobno jest jakaś ścieżka, żeby ten dokument uznano w Unii Europejskiej. W sumie sam mogłbym sobie zrobić motor i ciężarówkę, kto wie, co się kiedy przyda. A że jeździć tak sobie tym umiem? Praktyka czyni mistrza.

Rozpoczęliśmy operację „Sułtan”, a raczej „Radża”. Już w rikszy odpaliliśmy piwa. Torbę pełną tego cudu musiałem trzymać ja, bo gdy policja widzi krajowca z alkoholem, to mu go zabiera, oczywiście dlatego, że władza tak bardzo dba o zdrowie obywatela w Bangladeszu, a nie dlatego, żeby to opierdolić na posterunku. Jednak nie doszło do żadnych dramatów, puszki po piwie zostały w rikszy, a my poszliśmy do apartamentu. Mieli wpaść znajomi, więc skorzystałem z wolnej godzinki i tego, że ceny usług w Chittagong nie są przesadnie wygórowane i poszedłem do balwierzka. Za przycięcie włosów i brody zapłaciłem 200 *taka*, cena wielce atrakcyjna, jakoś nie gorsza niż w Polsce. Przy okazji odmłodziłem o jakieś 10 lat, a moje ryło zaczęło przypominać to, co mam w paszporcie.

Koło 22 maszyna ruszyła, dwóch kolegów Alego wpadło i rozpoczęło się spożycie z naciskiem na rozmowy. Obaj dość dużo podróżowali, ale po innych częściach świata niż ja, więc mieli kilkaset pytań o Europę. To nigdy nie są łatwe wymiany zdań, bo co odpowiedzieć na pytanie: czy 50 euro to wystarczy na dzień na Włochy? Jak chcesz zwiedzać, to mniej więcej tyle na muzea wydasz. Jak chcesz pić szlachetne wino Aurora (jakieś 1,2 euro za litr) w najtańszym pokoju w Kalabrii, to spokojnie. Dość szybko zrozumiałem profil turystyczny kolegów Alego, bo zwłaszcza jeden z nich miał miliony opowieści o tym, jak strasznie gdzieś zalał pałę, spóźnił się na samolot, wpakował w kłopoty z obsługą hotelową. Nic z tego nie było jakieś dziko ekstremalne, ale wyszło, że dokąd nie jedzie, to pić zaczyna w samolocie i kończy też, tylko w tym powrotnym za dwa tygodnie. Do takich patologii prowadzą pomysły prohibicji i zabraniań ludziom zwykłego wypicia piwa (porównaj z: Polacy odwiedzają Holandię). Widząc ten profil bardzo polecałem im Rosję, bo tam akurat mają nieco łatwiej z wizą, a jeżeli chodzi o ceny mocnych alkoholi, to trudno lepiej trafić. Podług tej logiki pytałem, czy myśleli kiedyś o Ukrainie i Mołdawii. Kraje zasadniczo są europejskie, wizy raczej nie będą ciężkie do zdobycia, a jeżeli chodzi o picie, to klękajcie narody (i witaj depresjo). Zapytali, czy da się tam dogadać po angielsku, więc pomysł odpadł. Ja pytałem o niszowe destynacje w Indiach, na Sri Lance. Jakoś do Pakistanu nikogo z nich życie jeszcze nie zaciągnęło. Jednak kłuje w ząbki pradawna ojczyzna...

Posiedzieliśmy do jakiegoś 2 w nocy. Powoli zasypiałem. Po trzecim piwie zacząłem odczuwać jego walory smakowe. Nawet nie skończyliśmy tego, co mieliśmy. Położyłem się na jakieś niecałe cztery godziny. O szóstej podziękowałem wylewnie za gościnę i zadałem bardzo niewłaściwe pytanie:

- *Na lotnisku będzie działał kantor?*
- *Tak... O kurwa, nie, przecież tu nie ma.*

- *Macie międzynarodowy port lotniczy, który stara się przyciągnąć linie lotnicze z całego świata i nie ma tam kantoru?*
- *No to jest Bangladesz. Może jakiś otworzyli, ja już parę miesięcy nie leciałem stąd. Cholera, że nie wiedziałem wczoraj, bym ci zamienił.*
- *W sumie to nawet się cieszę, że tak to wychodzi, ten wczorajszy wieczór był zdecydowanie miły i przyjemny, jakoś niepasujący do dużej części pobytu u was.*

Zdobycie rikszy wręcz rozczerowało, spodziewałem się horroru na dwadzieścia minut i targów z bluzgami, że biali okradają nasze kobiety, a tu pierwszy zgodził się na ludzką cenę i za 250 taka dojechałem do lotniska. Niestety, Ali miał rację, kantoru nie było. Za to było tanie jedzenie (hamburger za 50 taka, cola chyba po 30 była, kawa 15, ceny sklepowe), otwarta na oścież palarnia, w której siedziały stada. Cieszyłem się pewną popularnością, bo przemyciłem zapalniczkę, większości zabierali.



240 wyjątkowo nie oznaczało, ile taka mam dać.

Kontrola paszportowa zaskoczyła. Pan celnik oglądał mój paszport, jakieś tam papierki, które miałem od wjazdu do kraju i zapytał, co robię w życiu.

- *Uczę angielskiego.*
- *Naprawdę?*

Nie, kurwa, na niby.

- *Tak, naprawdę.*
- *O, bo ja dużo Chomskiego czytałem na studiach. Co pan myśli o jego teoriach lingwistycznych?*

7 rano, lotnisko Chittagong. Celnik chce rozmawiać o Chomskim, którego ostatnio czytałem koło 2005 roku.

- *Cenię go wielce za lewicowe poglądy społeczno-polityczne – przyszło mi do głowy.*
- *A co z teoriami przyswajania języka przez dzieci?*
- *Sprawdzają się – zapewniłem próbując złapać jakieś neurony łopoczącej wiedzy z czasów studiów. Zadowolony taką odpowiedzią, celnik wybił mnie z Bangladeszu.*

Powrót odbywał się przez Dubaj. W pierwszym lotniskowym kantorze udało mi się wymienić taka. Oczywiście kurs był fatalny, ale mało mnie to interesowało, chciałem tylko pozbyć się tej cudownej waluty, którą życie uszczęśliwiło mnie w nadmiarze. Straciłem jakieś 12% wartości pieniędzy, jeżeli optymistycznie założymy, że taka jest coś warte. Dirhamy emirackie da się normalnie wymienić w Polsce, ale miałem ich jakieś 150PLN, co przy cenach lokalnych stanowi kwotę akurat na jeden dzień.

Jednym z plusów wykonywania mego szlachetnego zawodu jest to, że zna się trochę osób, które pracują w różnych miejscach. Życie Julii złożyło się tak, że mieszka obecnie w Dubaju i zgodziła się spędzić ze mną dzień. Dzięki temu moja przesiadka nie była mordęgą, tylko przyjemnie spędzonym dniem. Dubaj tani nie jest, ale płakałem ze szczęścia mogąc zjeść wegetariańską pizzę, napić się do woli coli zero i ogólnie pobyc w miejscu, które jest dość

cywilizowane. Upał dawał w pałę gorzej niż w Bangladeszu, ale klimatyzacja nie rozczarowywała.

Gdy trójka nauczycieli spotka się, tematów do rozmów nie brakuje. Mój ulubiony to czego głupiego dowiedziałeś się od uczniów. Drugie miejsce: jak bardzo pracodawca próbuje cię oszukać. To są oceany wspaniałych opowieści, które zakrzywiają czasoprzestrzeń.

Pod wieczór odwieziono mnie na lotnisko. Są gorsze miejsca, żeby czekać na lot niż Dubaj.

Moja wielka bangladeska przygoda dobiegała końca. Trudno było mi uwierzyć, że minęły tylko dwa tygodnie odkąd rozpocząłem realizowanie marzenia z dawnych lat. Na pewno nie mogłem powiedzieć, że sobie odpocząłem.

Czy było warto?

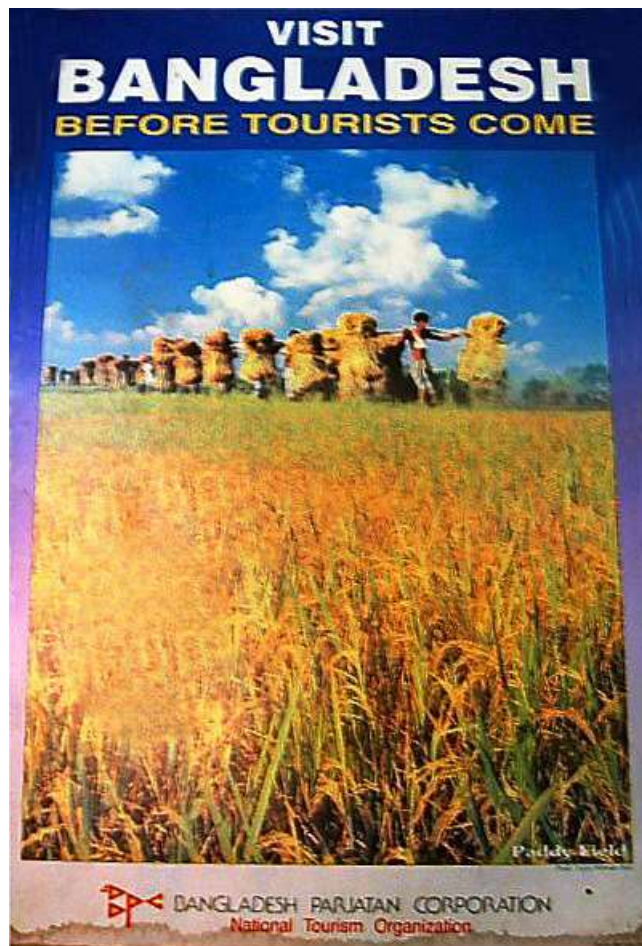
Jeżeli było się już wszędzie.

Jeżeli widziało się wszystko w okolicy (Birmę, Indie, Kambodżę), to wtedy można.

Początkowo śmiałem się z tekstów, że o sile Bangladeszu świadczą ludzie, jednak im dłużej tam byłem, tym bardziej mogłem się pod tym podpisać. Atrakcje turystyczne są wielce takie sobie. Komfort podróży żaden, do końca życia nie zapomnę ciągnięcia się autobusami przez pół kraju. Jedzenie smakuje chyba tylko lokalnym, a i tego pewien nie jestem. Atencja ludzi z pięcioma słowami angielskiego potrafi wykończyć. Jakość hoteli jest, w najlepszym razie, akceptowalna, a z tego, co czytałem, zazwyczaj skandaliczna. Cała impreza nie wychodzi jakoś cudownie tanio – jasne, nie jest bardzo drogo, ale nie jest też za darmo. Rozrywek właściwie brak, wieczory to nuda. Jeżeli ktoś bardzo chce mieć z dala od turystów, to jest to pewne rozwiązanie, ale zagęszczenie populacji nie daje szans na samotność. Sprawę ratują wykształceni ludzie, którzy zgadzają się pomagać obcokrajowcom, nierzadko rzucając w kąć całe swoje życie. W żadnym innym kraju Couchsurfing nie działa tak cudownie jak w Bangladeszu. Jest to naprawdę *red carpet treatment*, które już właściwie zanikło na świecie. Bywa to krępujące, ale pozwala na jakieś częściowe zrozumienie tego gigantycznego burdelu i wywiezienie wspomnień innych niż „tłok, brud, smród, nędza”. Jeżeli jednak człowiek się wkręci, to ubaw może być niezły, chociaż nie aż taki, żeby uznać, że obecne hasło reklamowe kraju "Beautiful Bangladesh" ma wydźwięk inny niż humorystyczny. Poprzednie brzmiało „Come before the tourists come”. Myślę, że nie trzeba się przesadnie spieszyć.



To powinno znaleźć się w słowniku obok hasła "propaganda" (za <https://u01.appmifile.com/images/2018/11/03/813cc7e8-a5c7-4f9c-882a-0daca9397377.png>)



(<https://dhakasideofthemoon.wordpress.com/2010/01/>)

Kilka miesięcy po powrocie zobaczyłem, że szkoła Bangladesz, Khulna szuka pracownika. Od razu rzuciłem się redagować CV i pisać, że podczas wakacyjnej wizyty zakochałem się w tym kraju.

Nie, żartuję. Uśmiechnąłem się, wspomniałem sobie śmieci, smród i pogodę. Zamknąłem ofertę i powróciłem do swoich baranów.